Nr. 183. Lwów — Niedziela dnia 11 Sierpnia. Rok 1907.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 8 po południu z datą dnia następnego.
Przedpłata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i Austryi miesięcz. 2 k. 20 h. w Niemczech . . . 3 „ — „ w innych Państwach . 4 „ — „ Za zmianę adresu dopłaca się 40 h. Opłaty należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.
Przedpłata we Lwowie miesięcznie 2 k. Numer kosztuje we Lwowie . . 8 h. na prowincyi . . . 12 h. Numera z poprzednich dni po 20 hal.
Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, pogrzebach, opisy uroczystości, sprawozdania z balów, zabaw prywatnych, reklamy dla teatrów, przedstawień i koncertów, opisy składów, dziękczynienia i wszelkie t. p. ogłoszenia przyjmuje się po 1 k. od wiersza.

PRZEGLĄD
polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie: Ajencya dzienników Sobolewskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9.
Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia ze czwartej strony: wiersz petitowy albo jego miejsce 4 h. W drobnych ogłoszeniach: Zwykłym petitem za każde słowo 4 h. Tłustym garmondem . . 8 h. korespond. prywatne . . 8 h. Nadesłane za trzeciej strony: Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . 60 h. Reklamy po kronice wiersz petit. 1 k. Rękopismów Redakcya nie zwraca. Niefrankowanych listów nie przyjmuje.

Dziś: św. Zuzanny P. | Kalinika. Jutro: św. Klary P. | Sylasa i Sylwana. Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45. Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI. Wschód słońca o godz. 4 min. 19, Zachód „ „ 6 „ 35. Długość dnia godzin 14 min. 16. Ubyło dnia od wczoraj 3 min.

Próba zgody Polaków z centrum katolickiem w Niemczech.

Znane są dzieje przyjaźni, która przez wiele lat trwała między katolikami niemieckimi a Polakami w cesarstwie niemieckiem. Zrodziła się ona na gruncie wspólnego poczucia sprawiedliwości, wspólnych ideałów, okrzepła w długim okresie walki luterstwa państwowego z katolickim Kościołem, przetrwała wszystkie niedole, zapisała w swych rocznikach zwycięstwo dobrej sprawy, widziała, jak pyszny krzyżak Bismark szedł do Canossy, a potem... potem zwolna przeszła w obojętność, z niej w niechęć, a z niechęci w nieprzyjaźń. Stało się to za sprawą wciąż rosnącego szowinizmu, nie z polskiej winy, ale z niemieckiej. Zgasł wielki Windhorst, usunął się z widowni Schorlemer z Alstu. W obozie centrowym nie stało wielkich duchów i szlachetnych serc, zapanował w nim prąd oportunistyczny, który ciągnął centrowców w stronę rządu pruskiego, a ten rząd przyrzekał im wszelkie łaski, byle zapomnieli o Polakach, byle nie protestowali przeciw ich prześladowaniu ani z trybuny parlamentarnej, ani w swych pismach i na zgromadzeniach. Centrowcy dali się zwabić rządowi, stanęli pod komendą szląskiego magnata hr. Ballestrema, który był letnim katolikiem, a gorącym Prusakiem. Wybrany marszałkiem parlamentu, nie pozwalał on odzywać się żadnej polskiej skardze, spychał z porządku dziennego interpelacye Koła polskiego, byle za co odbierał głos naszym posłom i odtąd było już w parlamencie zupełnie tak, jak w sejmie pruskim, w tym „sejmie landratów". Nastąpił więc rozdział między nami a centrum, przez to zaś nabrało mocy lutrzenie Wielkopolski. Zatrwożony tem, Papież Leon XIII raz wezwał do zgody, lecz w odpowiedź mu zabrzmiało na centrowym zjeździe w Opolu, że katolicy niemieccy są Niemcami. Szowinizm wziął górę i zaczął się popisywać na Szląsku Górnym, gdzie zręcznie w tym kierunku pracował x. kardynał Kopp. Ów Szląsk zawsze był punktem stycznym centrum z Polakami, bo tam lud — nasz, a szlachta — niemiecka i ta szlachta brała mandaty, lecz zawsze stawiała takich kandydatów, którzy mili byli ludowi, sprawy jego gorąco brali do serca, a zasiadali w centrum jako niby delegacya polska, jako łącznik między tem stronnictwem a Kołem polskiem. Kiedy jednak centrum stało się oportunistycznem i wsiąknęło w siebie niemiecki szowinizm, przestało wybierać na Szląsku kandydatów miłych ludowi. Wówczas w naszym tamtejszym obozie powstało rozdwojenie; przez zrozumiały odruch, wytworzyło się stronnictwo radykalne, które za przykładem centrum, na drugiem miejscu postawiło katolicyzm, na pierwszem narodowość i poczęło stawiać swoich kandydatów, a gdzie nie mogło ich przeprowadzić, tam wołało głosować na socyalistów lub postępowców niemieckich, byle nie na centrowców. Nie ma zawziętszych wrogów, jak pokłóceni przyjaciele. Drugie na Szląsku nasze stronnictwo, zwane katolickiem, bo się grupowało dokoła dziennika *Katolik* i redaktora jego p. Napieralskiego, nie zrywało z centrum, bo uważało, że ono jest „mniejszem złem", aniżeli luterskie prusactwo lub socyalizm, a potem liczyło się, aby na Szląsk nie była przeniesiona polityka hakatystyczna. Lecz kiedy katolicy niemieccy nawet w Poznańskiem przeszli do obozu hakaty, a na Szląsku nie chcieli przyjąć kandydatów kompromisowych, wówczas dopiero i obóz Napieralskiego odwrócił się od nich. [illegible] był stanowczy. Centrowcy szląscy stracili trzy mandaty na rzecz Polaków, a kilka na rzecz junkrów, liberałów i postępowców. Sam hr. Ballestrem stracił mandat. Trzeba tu z ubolewaniem zaznaczyć, że duchowieństwo katolickie na Szląsku okazało się najbardziej nieprzyjaznem Polakom. Jego dziennik *Schlesische-Volks-Ztg.* stał się polakożerczym, tak samo hakatystycznym, jak *Posener Tageblatt*. Lecz tymczasem rząd pruski pokłócił się z centrum na punkcie spraw kolonialnych. Jak niedawno p. Stołypin nie mógł znieść tego, że Polacy w dumie nieraz przy głosowaniach decydowali, tak samo p. Bülow nie mógł znieść, że decyduje centrum. Tu i tam była zadraśnięta pycha rządowa. Przy wyborach do parlamentu rząd podał rękę liberałom i postępowcom, poparł ich funduszami związku marynarskiego, stworzył sobie nową większość, a centrum kopnął nogą, tak samo jak socyalistów. Centrum, spełniwszy rolę murzyna, mogło sobie pójść precz. I poszło — poszło znowu do opozycyi.

Ale teraz zbliżają się wybory do sejmu pruskiego. Znaczą one bardzo mało, bo ten sejm zawsze jeszcze będzie „sejmem landratów". Jednakże, co się teraz przygotuje w stosunkach polsko-centrowych, to później bardzo wpłynie na wybory do parlamentu, które są powszechne i tajne. Centrowcom chodzi o to, aby nie stracili wszystkich szląskich mandatów. Jest ich 20; część z pewnością zabiorą Polacy, resztę mogą oddać komu bądź, byle nie centrum, bo głosami swymi zadecydują w walce między stronnictwami wszechniemieckiemi.

I oto szląski hr. Oppersdorff, katolik, zdawna poseł centrowy, wystąpił z projektem zgody Polaków z centrum. Ciekawe jest, że za to potępiło go duchowieństwo niemieckie na Szląsku. W organie swym *Schlesische Volks-Zeitung* surowo skarciło go za samowolę, za stawianie wniosków bez zezwolenia zarządu stronnictwa. Hrabia musiał stoczyć walkę z duchowieństwem, broniąc swych praw do samodzielności, a wyjaśniając, że przecież teraz żaden urzędnik nie będzie pracował dla centrum, ponieważ Berlin jest przeciwny temu stronnictwu, a zatem ono powinno zbliżyć się do ludu. Nie wypowiedział te argumenta: duchowieństwo opiera się ugodzie z Polakami, a popiera je rząd, strasząc w junkierskim dzienniku *Neisser Zeitung*, że jeżeli centrum sprzymierzy się z Polakami, to „wielkimi krokami zbliży się nowa walka kulturna, albowiem już wszyscy kulturnicy siedli na koń i jeno czekają sygnału z Berlina, aby ruszyć z kopyta. Wesoła będzie jazda!"

Pisze z tego powodu kolońska *Volks-Ztg*: „Można na to odpowiedzieć słowami p. Stołypina w dumie: „Nie przestraszycie!" Nowa walka religijna? Tak, czy owak, ona zawsze bardzo prawdopodobna, tem pewniejsza, czem będziemy słabsi, a zatem skupiajmy się, zdobywajmy sprzymierzeńców, bądźmy sprawiedliwi, bo tylko tacy zwyciężają".

Więc też Niemcy na Szląsku, pomijając protesty duchowieństwa, starają się o kompromis z Polakami, ale porozumienia jeszcze nie ma. Z dwudziestu mandatów Polacy żądają dla siebie ośmiu, jednakże wielu między nimi mówi, że jeden jest zupełnie nieusprawiedliwiony, bo w nim większość niemiecka, a drugi wątpliwy, gdyż tam tylko z Czechami, „braćmi morawskimi", można mieć większość, a bracia morawscy lgną do lutrów, zatem trzeba poprzestać na sześciu. Na razie i to będzie znacznym postępem. Lecz Niemcy dotąd dają tylko 3 mandaty Polakom, w ostateczności zaś 4, ale przyrzekają postawić wszędzie indziej kandydatów, uznających narodowe prawa Polaków. Podobno na 5-ciu stanie zgoda.

Mniejsza o jeden mandat. Zgoda z centrum, pomoc jego przy wyborach w Poznańskiem, w sejmie i w parlamencie znacznie więcej warta, niż powiększenie Koła polskiego o parę głosów.

Korespondencye.

Wiedeń 9 sierpnia.

(Wysokie ceny pszenicy. — Wpływ nowych ceł zbożowych. — Niesłuszne ataki prasy radykalnej. — Lekarze i technicy dentystyczni.)

(y(. Od przeszło czterech tygodni cena pszenicy w całej monarchii utrzymuje się na niebywale wysokim poziomie i wynosi obecnie na targu budapeszteńskim przeszło 11½ koron za 50 kilo, czyli 23 koron za centnar metryczny. Cena ta jest w porównaniu z tym samym okresem roku przeszłego o 8 koron na centnarze wyższa. W ciągu jednego roku zatem podrożała cena tego najważniejszego artykułu żywności o przeszło 50 prc.

W ostatnich latach dwudziestu tylko parę razy wyjątkowe klęski elementarne wyśrubowały cenę pszenicy chwilowo do tej wysokości, co obecnie. I tak mieliśmy ją w roku 1891, gdy Rosya nawiedzona została kompletnym nieurodzajem, skutkiem czego rząd rosyjski wydał zakaz wywozu zboża, a Europa znalazła się po raz pierwszy wobec konieczności obchodzenia się bez rosyjskiej pszenicy. Mniej więcej takie same ceny pszenicy mieliśmy następnie przy końcu kampanii 1897/98, gdy Austro-Węgry nawiedzone zostały nieurodzajem, a potem także przez krótki czas, w sierpniu 1904, gdy skutkiem szalonej posuchy przepadł kompletnie zbiór roślin pastewnych i rząd austryacki musiał się uciec do wydania zakazu wywozu paszy za granicę. We wszystkich zatem tych wypadkach tylko nadzwyczajne zdarzenia spowodowały tak wysokie ceny pszenicy, jak obecne. W tym roku jednak nie zaszło nic takiego, coby mogło iść w porównanie z owymi poprzednimi wypadkami. Pszenica wprawdzie nie zrodziła tak, jak w innych latach, ale mimo to na rynku ogólnoświatowym nie nastanie jej brak, co się zaś tyczy specyalnie naszej monarchii, to tegoroczny sprzęt pszenicy wypadł w niej o wiele lepiej niż w roku 1897. — Wtedy zebrano w obydwu połowach monarchii wszystkiego 33 milionów centnarów metrycznych pszenicy, w tym roku zaś w samych tylko Węgrzech zebrano 32½ milionów centnarów, zaś przypuszczalny zbiór pszenicy w Przedlitawii obliczają na 12 do 13 milionów centnarów. Także tegoroczny zbiór paszy jest nierównie korzystniejszy niż był w roku 1904, kukurudza na Węgrzech stoi jeszcze na polu i zapowiada się bardzo dobrze, ukończony w wielu okolicach sprzęt jęczmienia dał ilościowo średnie, jakościowo zaś wprost świetne rezultaty, a także owies da prawdopodobnie, na ogół biorąc, zbiór niewiele gorszy od średniego. W jaki sposób można tedy wytłómaczyć te nadzwyczajnie wysokie obecnie ceny pszenicy, praktykowane zresztą tylko w latach co się zowie głodowych?

Owóż przeważna część ekonomistów dochodzi do konkluzyi, że jest to następstwo wysokich ceł zbożowych, ustanowionych w nowych traktatach handlowych, które, jak wiadomo, weszły w życie w marcu roku ubiegłego. Przez półtora roku nie wywierały one wpływu na ceny, co wytłómaczyć da się tem, iż ilość zboża, zebranego w monarchii, przewyższała zapotrzebowanie jej ludności, w tym roku jednak, gdy zanosi się na to, że będziemy musieli sprowadzić z zagranicy pszenicę, ujawnia się zaraz wpływ nowych ceł na jej ceny.

Prasa liberalna i socyalistyczna korzysta z tego ułożenia się cen zbożowych i atakuje gwałtownie znienawidzonych przez się agraryuszy, zarzucając im, że to oni wywołali tę nadzwyczajną drożyznę chleba. Zdaniem tych dzienników powinni rolnicy teraz zadowolnić się tem, iż pobierają takie lichwiarskie ceny za pszenicę, a nie robić trudności otwarciu granic dla importu zagranicznego bydła. Najważniejszą jednak okoliczność przemilczają agitatorowie radykalni, a mianowicie, że niewiele korzyści ma rolnik z wysokich cen pszenicy, skoro zebrał jej ze swego pola zaledwie połowę tej ilości, jaką zbiera w latach normalnych. To też pomimo tak wysokich cen pszenicy położenie rolnika jest w tym roku bardzo przykre, o czem świadczy najwymowniej niezwykle wielkie zapotrzebowanie kredytu wekslowego przez sfery ziemiańskie.

Tocząca się od lat kilku walka między wiedeńskimi dentystami-lekarzami a technikami dentystycznymi zaogniła się ostatnimi czasy jeszcze bardziej skutkiem wiadomości, że rząd zamierza przedłożyć parlamentowi w jesieni osobny projekt ustawy o technikach dentystycznych. Owóż lekarze już zawczasu za pomocą swych dzienników domagają się, ażeby ta ustawa odebrała technikom dentystycznym prawo wykonywania jakichkolwiek zabiegów operacyjnych, gdyż to należy wyłącznie do lekarzy; w odpowiedzi zaś na to organ techników dentystycznych *(Zeitschrift für Zahntechnik)* uderzył namiętnie na wiedeńską izbę lekarską, zarzucając jej, że we wszystkiem kieruje się brudnymi motywami egoistycznymi. Izba lekarska w replice swej odpowiada, że trudno przecie dopuścić do tego, ażeby prawo wykonywania operacyi przyznano takim indywiduom, z jakich w znacznej części składa się wiedeński stan techników dentystycznych, a mianowicie dawnym wypychaczom ptaków, ajentom sprzedającym obrazy na raty, ekspresom, wywoływaczom bud w Praterze i t. p., gdyż niepodobna przypuszczać, ażeby wraz z koncesyą na utrzymywanie pracowni dentystycznej nabyli oni także potrzebnych wiadomości lekarskich. Na tę replikę odpowiedzieli technicy dentystyczni w swoim organie dupliką tak jędrną, że ostatecznie epilog tej sprawy rozegra się w sądzie.

Samochodem z Pekinu do Paryża.

Wyścig automobilowy z Pekinu do Paryża kończy się dzisiaj, albowiem dziś o godzinie 4-ej popołudniu ks. Borghese stanie już w Paryżu. Wyścig ten z powodu licznych przygód, tudzież z powodu bardzo zajmujących spostrzeżeń, notowanych skrzętnie przez dziennikarzy, biorących udział w tej jeździe, budził wielkie zainteresowanie nietylko w sferach sportowych, ale także wśród inteligentnego ogółu.

Podaliśmy byli swego czasu opis jazdy do Kałganu, posłuchajmyż teraz, co opowiadał o dalszym przebiegu tej karkołomnej podróży korespondent *Corriere della Sera* i *Daily Telegraph*, jadący na samochodzie „Itala", prowadzonym przez ks. Borghese. Pisał on:

Dnia 17 czerwca „Itala" dotarł do stacyi Uddo, w samym środku pustyni Gobi. Pędziliśmy z szybkością 60 mil angielskich (91.384 klm.) na godzinę po płaszczyźnie nieraz tak równej, jak stół bilardowy. Tu i owdzie stada antylop uciekały przerażone na widok pędzącego samochodu i nikły u granic widnokręgu. Jeźdźcy mongolscy usiłowali niejednokrotnie dogonić nas, puszczając konie galopem, przekonawszy się jednak, że to niemożliwe, stawali zdumieni.

Była godzina 8-ma rano, gdy wjechaliśmy na pustynię. W kilka godzin później ogarnął nas żar prawie nie do wytrzymania. Wydmy piaszczyste i przestrzenie usiane kamieniami zniewalały nas do zwalniania jazdy. Wzmagały się przez to męczarnie upału, ale przeszkód poważnych nie spotykaliśmy po drodze.

Minęliśmy kilka karawan odpoczywających, z powodu bowiem wielkiego upału odbywają podróż tylko nocą. Drogę karawanową znaczą: biały szlak kości padłych wielbłądów, tudzież oryginalne stosy kamieni, uwieńczone czaszkami wołowemi. Są to stosy ofiarne karawan mongolskich, które przy nich odprawiają modły, zanim poważą się narazić na niebezpieczeństwo pustyni.

O godzinie 4-ej popołudniu dotarliśmy do Udde, gdzie przyjął nas radośnie i ugościł telegrafista chiński. Telegrafowaliśmy stamtąd do Piongkiongu z zapytaniem o inne samochody. Otrzymaliśmy odpowiedź, że współzawodnicy nasi odbywają podróż bardzo wolno, ciężar bowiem samochodów nie odpowiada ich sile. Skutkiem tego też Pons, jadący na samochodzie „Contal", zawrócił z drogi, nie mogąc przezwyciężyć trudności.

We czwartek d. 20-go czerwca ks. Borghese opuścił zrana Udde i dotarł o godz. 3-ej popołudniu do świętego miasta lamaitów, Tojrynu. Stamtąd nadesłał korespondent *Daily Telegraphu* dalszy opis podróży.

Przebyliśmy — pisze — 300 kilometrów. Dziś rano skończyliśmy pierwszy tysiąc kilometrów od chwili wyjazdu z Pekinu. Jak i wczoraj, droga nasza wiodła przez upalną pustynię, przez niezliczoną ilość dolin, pomiędzy piaszczystemi wzgórzami. Cierpieliśmy okropnie skutkiem upału, tembardziej, że noce są tu bardzo zimne. Dokuczało nam pragnienie nieznośne, a ciała nasze zdawały się usychać. Wargi nabrzmiały i popękały, oczy zaś nabiegły krwią. Ani żywego ducha na drodze, to też mieliśmy wrażenie podróży po niezamieszkanej planecie. Gdzie więc tylko było to możliwem, puszczaliśmy samochód całym pędem, aby jak najprędzej wydostać się z pustkowia.

Szczęście jeszcze, że od czasu do czasu trafialiśmy na źródła wody, jak lód zimnej, co pozwalało nam gasić pragnienie i odnawiać zapas wody na samochodzie.

Około południa zjawiły się stepy okryte trawą, na których pasły się całe stada antylop. Usłyszawszy szum motoru, zwierzęta podnosiły łby i uciekały, z krzaków zaś zrywały się chmury ptactwa.

O godz. 3-ej popołudniu rozpostarł się nagle przed nami krajobraz inny. Cały widnokrąg zakrywały skały i głazy olbrzymie o kształtach niezmiernie fantastycznych, dzikie i ponure. Można więc wyobrazić sobie zdziwienie nasze, gdy wśród pustyni tej kamiennej błysnęły nagle złote kopuły świątyń, zbudowanych w stylu tybetańskim. Dokoła świątyń tuliły się białe domki miasteczka. Było to święte miasto lamaitów, Tojryn, którego granicy nie przestąpiła jeszcze nigdy stopa kobieca. Cisza panowała tu taka, jak w sąsiedniej pustyni. Wkrótce jednak zjawili się liczni lamowie w szatach żółtych i czerwonych, w towarzystwie setek psów. Wszystko to otoczyło nas, przyglądając się ze zdumieniem samochodowi. Skoro jednak dotknęliśmy dźwigni i samochód ruszył z miejsca, lamowie i psy rozbiegli się w przerażeniu na wszystkie strony.

Wkrótce potem stanęliśmy u glinianej chaty, stanowiącej stacyę telegrafu chińskiego. Tam dowiedzieliśmy się, że samochód holenderski „Spyker" zatrzymał się z powodu braku nafty o sto li od Piongkiongu, oraz, że oba samochody francuskie firmy „Dion Bouton" przybyły o godz. 1 popołudniu do Udde, znajdują się więc o 240 kilometrów za nami.

W piątek d. 21-go czerwca przybyliśmy do Urgi, skąd w niedzielę o godz. 4-ej rano wyruszyliśmy w dalszą drogę na północ i przybyliśmy we wtorek 25-go czerwca przez granicę mongolsko-sybirską do Kiachty. Przebycie granicy było połączone z ogromnemi trudnościami. „Itala" zapadała kilkakrotnie po osie w bagno i tylko dłońmi i plecami Mongołów udało się ją wydobyć. Reszta automobilów pozostała w tyle.

* *

Z Kiachty wyruszyła „Itala" w dalszą drogę na północ, już przez Syberyę, wzdłuż rzeki Zelengi i przybyto dnia 26 w środę do stacyi kolei trans-syberyjskiej Wierchno-Udieńsk a stamtąd pojechano już wzdłuż linii kolejowej oraz wzdłuż południowego jeziora Bajkał ku Irkuckowi.

Wyjazd z W.-Udieńska odbył się przy ostrym wietrze i mroźnym deszczu, który zmienił rzekę w bagno. Muł, wyrzucany przez koła, pokrył twarze, ręce i ubrania podróżnych tak, że byli podobni do modeli glinianych. Jazda była nad wyraz wyczerpująca. Głębokie błoto zmuszało ich nieraz opuścić drogę, a jechać stepem, pokrytym wysoką trawą; gdzieindziej automobiliści musieli sobie tworzyć sztuczny tor po układanych gałęziach drzew: w ten sposób nieraz w kilku godzinach posuwali się zaledwie o kilkadziesiąt albo kilkaset metrów.

Od czasu założenia kolei poszedł stary sybirski gościniec prawie zupełnie w zaniedbanie; w kilku miejscach porósł trawą i krzakami, gdzieindziej zalały go wody. Przebycie licznych rzek było niełatwe i połączone z niebezpieczeństwami; drewniane mosty były zdezelowane, pod ciężarem automobilu chwiały się i trzeszczały, a nawet odpadały z nich całe kawały. Gdy podróżnicy chcieli jechać przez rzekę Bolszewaja, ostrzegł ich przed tem z daleka budnik kolei syberyjskiej głośnymi okrzykami. Zaczęto most oglądać i przekonano się, że dol-

---

58)

Girolamo Rovetta.

Mater Dolorosa

Powieść

przełożyła z włoskiego ***Karolina Dzieduszycka.***

(Ciąg dalszy).

Owego wieczora, w teatrze był benefis diwy Soleil, a wspaniały bukiet storczyków i pełnych fiołków, który się wyszczególniał z pomiędzy mnóstwa innych ofiarowanych ulubionej i fetowanej śpiewaczce, był powodem komentarzy i plotek po lożach. Z pewnością, z pewnością był to bukiet od margrabiego. Był to dar margrabiego! hołd jego!

Po teatrze było zebranie u księżny Kleigenburg, a pomiędzy zaproszonymi znajdowała się Lalla i margrabia di Vharé. Ten ostatni, pokręciwszy się pomiędzy paniami, mówiąc im komplimenta, lub też rzucając epigramami, usiadł niedaleko księżniczki, z ruchem człowieka, który bardzo się wynudziwszy, doznaje chwilowej ulgi. Lalla nigdy mu ani słowa o diwie nie powiedziała, nawet by zauważyć, że panna Soleil pięknie śpiewa; ale tego wieczora powiedzieć coś chciała i uśmiechnięta w niego się wpatrywała... i w butonierkę od fraka, w której było kilka fiołków.

— Prześliczne...

— Przykro mi, księżniczko, ale nie mogę, nie śmiem jej tych fiołków ofiarować.

— Obawia się margrabia słodkiej wymówki?

Jakób ze zdziwieniem spojrzał na Lallę.

— O, nie! zupełnie co innego.

— Więc tak mu są drogie te fiołki?

— I to nie hrabino; ale cóż, może się jej to wyda dziwnem, ale nawet my starzy *roués* mamy naszą wstydliwość i.... hrabina nie może mnie zrozumieć.... nic mi nie zależy na tych pomiętych kwiatach.... ot.... zdawałoby mi się, że jej ubliżam, ofiarowując je hrabinie....

Milczenie podkreślone a wystudyowane z wysoką sztuką, uwydatniały kontrast pomiędzy śpiewaczką, a księżniczką, wielce dla tej ostatniej pochlebny.

Kiedy margrabia umilkł, długo oboje na siebie spojrzeli, nie mówiąc nic; potem Lalla, z ustami nieco drżącemi i piersią bardziej falującą pod dekoltowanym stanikiem, wyciągnęła ku niemu rękę, ze słodkim wyrazem prośby i przywiązania. Vharé wyciągnął fiołki z butonierki, i bardziej z przyzwyczajenia jak z rozmysłu, lekko ścisnął paluszki Lalli. Lalla wzięła kwiaty i starannie włożyła je do koronkowego wachlarza.

— Czy to oświadczyny, czyli też żart? — pomyślał w duszy Vharé. — Ale, któż kiedy potrafi zrozumieć kobiety?... Czyż ona może chcieć *que je lui fasse la cour?...* kochać mnie? Ona? Odczuwać dla mnie jakąkolwiek sympatyę, dla mnie, którego mąż jej musiał przed nią odmalować pendzlem Bosch'a, który same maluje potwory? A mogłoby to właśnie być dlatego... To kobiecina inteligentna, a kto wie, znajdując mnie mniej głupiem od innych.... Nie, nie; to niepodobna; starzeję się i aby mi pochlebić, wystarcza uprzejmość zupełnie niewinna... albo naiwna! Z tą poważną miną? Z temi skromnemi oczyma?... A jednak chwilami umie patrzeć w taki sposób... nie, nie, to nieprawdopodobne, niedorzeczne!

A jednak, chociaż nieprawdopodobne, było to prawdziwe.

Lalli chodziło o to, by margrabiemu głowę zawrócić i zależało jej na nim więcej, niż na każdym innym.

Ale dlatego nie trzeba sądzić, aby Vharé zawdzięczał swoje powodzenie jedynie tylko wspomnieniom dziecinnym księżniczki; przyczyniła się do tego inna okoliczność bardzo dziwna i wielce w tym wypadku pomocna. Jerzemu della Valle proponowano nabycie na wsi willi margrabiego i przed wyjazdem do Rzymu, Jerzy i Lalla, odwiedzając rodziców w Santo Fiore, pojechali razem, by ją obejrzeć.

Jerzy przez miesiąc mieszkał w tej willi i nic szczególniejszego nie odkrył; za to Lalla, zaraz, zaledwo weszła, zrobiwszy kilka kroków w tem „intérieur" bogatem i pełnem elegancyi, miała złudzenie, iż widzi, jak się ukazuje, porusza, ożywia, ten sympatyczny i fantastyczny rozrzutnik, ten miły uwodziciel o subtelnych upodobaniach i o pańskich przyzwyczajeniach; i w dywaniku o dwóch zręcznych cyfrach, które nie były ani V ani J, kryjących się wśród arabesków, i w czarce z uschniętymi kwiatami, i w haftowanej makacie i w wyszywanej kapie na łóżko, na pierwszy rzut oka odgadła rączki kobiety, lub więcej kobiet, które bardzo kochały pana tego domu. Z tym swoim instynktem niedyskretnego i ciekawego dziecka, Lalla patrzyła, dotykała wszystkiego, chciała wiedzieć o wszystkiem i odgadnąć... dlaczego? Biegała tu i tam, od pracowni do saloniku, od saloniku do sypialnego pokoju, szukając, szperając, przeglądając, i ciągle znajdywała coś nowego i zajmującego. Wydawało się, że jest ona tu u siebie, jako dusza, umysł, płomyk całego tego małego królestwa miłości i kobiecości.

Kiedy w zwierciedle odbijała się lekka osóbka Lalli, tak dziwnie powiewna, otulona ciasno w ciemne futerko, z czapeczką z wydry, która przykrywała bujne pukle jej ślicznych jasnych włosów, zwierciadło to zdawało się przemieniać w piękny rodzajowy obraz, umiejętną ręką artysty w tem miejscu ustawiony. Lalla biegała tu i owdzie; ale wreszcie w sypialnym pokoju, przy łóżku, stanęła najprzód zdziwiona, potem zamyślona. Pomiędzy podniesionemi kotarami, w głowach łóżka, odkryła malutki obrazek, pewnie coś tajemniczego, gdyż pod szkłem była zasłona zielona jedwabna, z jakimś rysunkiem na wpół spłowiałym.

Jerzy w tej właśnie chwili, stał przy oknie, mocno zajęty rozmową z notaryuszem, któremu sprzedaż willi polecono, i który mu wskazywał granice posiadłości.

Lalla zdjęła obrazek, obejrzała go ze wszystkich stron z pewną nerwowością — aż wreszcie spostrzegła w samym rogu ramki małą sprężynkę; silnie palcami ją przycisnęła: zasłona zielona się usunęła i Lalla ujrzała miniaturę, portret prześlicznej kobiety, z piersią obnażoną, z falą przecudych jasnych włosów (była blondynką jak ona), które wypełniały cały obrazek.

Ta pani o tych jasnych włosach, była wielką damą z arystokracyi rzymskiej, sławną nietylko ze swojej piękności, ale jeszcze więcej ze swojej wzniosłej i rzadkiej cnoty. A tymczasem... tymczasem była kochanką margrabiego di Vharé...

Jerzy, któremu odpowiadało nabycie całej tej posiadłości, układał przez ten czas z notaryuszem punkta kontraktu.

— Czy w sprzedaży jest wliczone i całe urządzenie?... A także dzieła sztuki? — zapytała księżniczka.

— Pan margrabia — odpowiedział notaryusz — wymówił sobie tylko niektóre pamiątki rodzinne, które zatrzymać zamierza.

— Rozumiem — pomyślała Lalla i uśmiechnęła się. — Wśród tych pamiątek i piękną miniaturę zatrzyma.

(Ciąg dalszy nastąpi).

no rusztowanie mostu było połamane, a tylko górna część wznosiła się dziwnym sposobem w powietrzu. Podróżnicy szukali jakiegoś brodu, ale napróżno: woda była na tyle głęboka, że byłaby dosięgła motoru i zalała go. Postanowili więc swój motor o sile sześciu koni oddzielić od elektromagnesów i osobno przeciągnąć przez rzekę. Po trzechgodzinnej pracy dostali się na drugi brzeg; woda dotknęła wprawdzie motoru, ale go nie uszkodziła.

Wreszcie ujrzeli z wysokiego pagórka, pokrytego jodłami, w dole wielki obszar modrej toni jeziora Bajkał. Przebywszy 6 nudnych kilometrów przez jakiś spalony las z czarnymi pniami drzew, przybyli do opuszczonej od czasu zbudowania kolei wsi Myssowaja na brzegu wspaniałego jeziora.

Jazda wzdłuż południowego brzegu napotkała na szereg nowych, ciężkich przeszkód. Droga prowadziła przez dzikie lasy, dawne drogi, zawalone obecnie masą pni drzewnych, przez strome pagórki, które można było brać tylko z rozpędem. W niektórych miejscach powodzie spowodowały usunięcie się gór, wszędzie zaś była konieczną jak największa ostrożność, gdyż droga była bardzo wązka i prowadziła tuż ponad wysokim brzegiem wielkiej wody. Podróżni widzieli przejazdem stare opuszczone stacye pocztowe z pozapadanymi dachami. Rzeki powzbierały od śniegu, topniejącego na wyżynach Szudagaw, mosty były też przez to uszkodzone; jeden z nich, nad rwącą rzeczułką, w oddaleniu 16 wiorst od Myssowaja, zapadł się z trzaskiem, zaledwie podróżni dotarli do jego końca.

Przybywszy nad rzekę Dźida, zobaczyli tylko kilka samotnych filarów, pozostałych z mostu; woda dosięgała dwóch metrów i nie można było przebyć jej w bród, łodzi także nie było. Znowu zamierzali sobie tratwę zbić, ale ze względu na to, że oprócz Dźidy mieli jeszcze do przebycia trzy inne rzeki bez mostów i bez łodzi, powrócili do Myssowai i prosili telegraficznie gubernatora w Irkucku o pozwolenie używania mostów kolejowych. Gubernator udzielił rzeczywiście pozwolenia i „Itala" mogła jechać dalej ku Irkuckowi.

Zainteresowanie osób, śledzących przebieg wyścigu, zwrócone było w dalszym ciągu zwłaszcza nie jak dotychczas na „Italę", będącą ciągle na czele, ale na dwa samochody „de Dion Bouton" i na „Spykera", które pozostały w tyle walcząc nieustannie z niezmiernemi trudnościami terenu, jakie wyłoniły się, a które „Itala" ks. Borghese łatwiej pokonywała. Sprawozdawca paryskiego *Matin*, jadący właśnie z grupą osób na owych opóźniających się samochodach, nie tracił jednak nawet w najprzykrzejszych chwilach humoru i nader barwnie i z werwą opisywał przebieg podróży. Oto jak odmalował drogę z Urgi do Kiachty. Pisze on:

— Zacznę opowiadać o przygodach, jakie spotkały nas w podróży pomiędzy Urgą a Kiachtą, opowiem historyę odwiedzin u „małego bożka" w Urdze. Mongolia posiada dwóch bożków: jednego „dużego" w Lassie i „małego" w Urdze. Stosunki pomiędzy bożkami, zwłaszcza po niespodziewanej wizycie „dużego" u „małego", w czasie ekspedycyi Anglików do Lassy — panują wzorowe.

Kiedy nam zaznaczono o tem, że „mały bożek" wyraził chęć ujrzenia nas, co było jednocześnie rozkazem stawienia się natychmiastowego, nie mogliśmy wyjść z podziwienia. Trzeba bowiem wiedzieć, że wogóle widzenie „małego bożka" należy do rzadkości, zwłaszcza dla Europejczyków. Pałac jego wznosi się w odległości 6 kilometrów od Urgi i przedstawia wysoki dom, zbudowany po europejsku, ze złoconym dachem. Olbrzymi tłum sług i adoratorów otacza pałac bożka, wraz z całemi stadami olbrzymich, wiecznie gryzących się ze sobą psów.

Przygotowaliśmy nasze samochody, przypuszczaliśmy bowiem, że o nie głównie chodzi bożkowi: i w otoczeniu jeźdźców w fantastycznych czerwonych strojach, ruszyliśmy. Przed pałacem zatrzymaliśmy samochody, nie zatrzymując motorów, które swym hałasem po krótkim czasie ściągnęły tłumy przed pałac. W oczekiwaniu na bożka opędzaliśmy się z wysiłkiem przy pomocy eskortujących nas jeźdźców od psów, które hałas motorów doprowadził do wściekłości. Oczekiwanie trwało kilkadziesiąt minut. Widocznie „mały bożek" chciał pokazać nam, że wcale nie jest ciekawy zobaczyć naszych samochodów. Nagle przy wejściu powstał ruch i bożek wyszedł z pałacu w otoczeniu olbrzymiej świty w czerwonych strojach, jak wszyscy wogóle bardziej zamożni i poważni lamaici. Po zwykłych ukłonach cała grupa bożek zapragnął ujrzeć samochody w ruchu i kazał jednemu ze świty wsiąść na „Spykera". Biedak, trzęsąc się na całem ciele, usiadł na samochodzie i dano znak do wyruszenia. Samochody ruszyły z miejsca wolno, za nimi w ślad eskorta konnych jeźdźców z rozkazu bożka. Godard dał znak przyspieszenia biegu. Ruszyliśmy całym pędem. Bożek, jego świta, pałac, eskorta nawet — wszystko pozostało w tyle. Biedny nasz towarzysz podróży zamknął oczy, a twarz jego zżółkła jeszcze więcej, co podobno u Chińczyków jest oznaką zblednienia.

Po powrocie bożek przez tłumacza pochwalił nas i nasze maszyny, a po kilku jeszcze frazesach, będących esencyą znanego już z opisów ugrzecznienia Chińczyków, zapytał wprost, czy nie moglibyśmy mu naprawić jego automobilu. Zdumienie nasze nie miało granic! Jakto, więc ta lalka brzydka, uważająca się za bóstwo, żółta, tłusta, o twarzy podobnej do olbrzymiego księżyca, na której, jak dwa węgle, palą się niewielkie oczka typowego alkoholika — posiada własny samochód i być może, zechce na nim konkurować z nami o zdobycie nagrody w wyścigu Pekin-Paryż?

Jednocześnie kilku lamaitów w czerwonych strojach wytoczyło z podwórza pałacu olbrzymi, świecący od bronzów i upiększeń, samochód, który miał wszystko, co można żądać od samochodu, miał nawet zapasowe części maszyn, opony, olbrzymie butle z benzyną itp. — po bliższem jednak obejrzeniu okazało się, że był to jedynie samochód dekoracyjny.

Motor jego wymownie świadczył, że samochód ten może służyć do wszystkiego z wyjątkiem jeżdżenia, chyba żeby przyprządz do niego ze dwa wielbłądy. Była to zwyczajna tandeta, jaką pomysłowi Amerykanie za drogie zapewne pieniądze sprzedali Chińczykom. Bożek był szczerze zmartwiony, gdyśmy mu to oznajmili. I patrząc na tę brzydką zasmuconą obecnie twarz chciałoby się jej posiadacza pocieszyć po zamianie i powiedzieć: „Mój starusku, jak się jest bożkiem, nie powinno się pozwalać tak głupio oszukiwać". Życzenie moje widocznie odbiło się tak wyraźnie w mych oczach, że lamaici ze świty bożka spostrzegli je, a nie chcąc dopuścić, aby oburzenie moje sprofanowało szaty „małego bożka" otoczyli go, a nam oznajmili, że audyencya skończona.

„O godzinie 4 rano Bizac (palacz), który, jak się okaże, wcale nie śpi, obudził nas i dał rozkaz gotowania się do dalszej drogi. Chętnie byśmy się jeszcze przespali, lecz tak każdy przyzwyczaił się już do rygoru, że w ciągu pięciu minut byliśmy na nogach, a po spożyciu śniadania w pośpiechu, u gościnnego miejscowego p. Stepanowa (dyrektor miejscowej filii banku rosyjsko-chińskiego) ruszyliśmy do Kiachty.

Droga zaczęła się wić wśród wzgórz okolicznych. Samochody skakały jak piłki, co chwila trzeba było objeżdżać wyższe i bardziej strome wzgórza. — Torował drogę p. Cormier na samochodzie z Dion-Bouton'ów. Niejednokrotnie samochód jego, który już dojechał do połowy wzgórza, nagle, pomimo ciężkiej pracy motoru, zsuwał się na dół i trzeba było, popychając go, wtaczać na wzgórze.

Jeszcze trudniejsza rzecz ze zjazdem ze wzgórza. Motory zatrzymane. Wszystkie hamulce w ruchu, — pomimo to samochód staczał się ze wzgórza z zawrotną szybkością, grożącą co chwila wywróceniem się. Przebywamy wzgórza o spadku 35 na 100 metrów. Ciężar bagażu, czyli zapasowych części i benzyny, dochodzący do 600 kilogramów, daje nam się we znaki. W ten sposób z doliny na wzgórze i ze wzgórza do doliny ujechaliśmy niezbyt wiele. Mamy wogóle do przebycia pięć takich pasm. Niewesoła perspektywa! O godzinie 6 wieczorem zatrzymujemy się na odpoczynek. Gotujemy zupę, gdyż od śniadania mieliśmy jedynie w ustach po kawałku chleba. W dali widać ogień w oknach jakiejś chaty, zbudowanej na sposób rosyjski. Spieszymy w tę stronę. Okazuje się, że to miraż. Chata pozornie blizka, w ciągu 2 i pół godziny nie dochodzimy do niej... Przygotowania do noclegu. Trzy samochody ustawia się z trzech stron i pośrodku rozbija się namioty. Rozkład ustawia się namiot. Ogień rozłożony; rosół z konserwy już gotowy, herbata będzie wkrótce. Za pół godziny już śpimy jak zabici, do rana, gdy oczywiście Bizac obudzi nas o godz. 4".

„W drodze rano obudził nas głośny szum deszczu. Niewesoła perspektywa podróży w czasie ulewy. Opóźniamy cokolwiek nasz odjazd, lecz deszcz nie ustaje. Wreszcie ruszamy. Po przeprawie przez rzeczkę, wjeżdżamy w dolinę z błotnistą ziemią. Posuwamy się z trudnością naprzód, koła ślizgają się coraz częściej. Samochód jadący na przodzie grzęźnie w błocie. Niejednokrotnie posuwamy się naprzód przy pomocy rydli i łopat, które umyślnie bierzemy z pod kół samochodów. Po dwugodzinnych wysiłkach robimy zaledwie jeden kilometr. Wreszcie natrafiamy na drogę, która w tem miejscu rozwidla się w dwie strony. Którą drogę wybrać? Nie mamy żadnego przewodnika, oprócz małej mapki rosyjskiej, zresztą — jak się okazało — bardzo niedokładnej. Robimy krótką naradę i ruszamy w lewo. Droga na chwilę staje się lepsza. Maleńkie wzgórza, spotykane na drodze, zwyciężamy z dużą szybkością, z jaką się da. Przed każdym pagórkiem rozpędzamy motory do *maximum*. Pomimo to jednak są wzgórza, z których samochody po połowie drogi zsuwają się z powrotem. Wtedy zaczyna się ciężka praca. Gdy wreszcie popychany z tyłu samochód staje na szczycie, po twarzy spływają nam strugi potu. Tak mijają dwie godziny.

— Lecz gdzie jest Iro?

Iro — oto magiczne słowo, które wszystkich nas pobudza do popędzania maszyn: oczekiwanie Iro, widok Iro, przeprawa przez Iro. Jak się możecie łatwo domyśleć, Iro — to rzeka. Najbardziej kapryśna, najbardziej zmienna ze wszystkich rzek. Zawsze bez wody, bez prądu, często z zupełnie wyschniętem łożem — w czasie deszczów staje się nie do przebycia. Dowiedzieliśmy się, że jedyny prom, na którym można się przez nią przeprawić, w czasie deszczów zupełnie nie kursuje. Nic dziwnego przeto, że z niepokojem wyczekiwaliśmy ukazania się rzeki, jadąc po gruncie niepewnym i bez trwałego kierunku.

Nagle „Spyker" zapada się po osie w olbrzymiej kałuży błota. Sytuacya staje się krytyczna. Wszystkie samochody z chwilą zatrzymania, zaczynają się powoli zanurzać w błotnistej ziemi. Podkładamy pod koła deski i zabieramy się do wyciągania „Spykera". — Wszelkie usiłowania stają się daremne. Lewary, dźwignie, zapadają się w grząskim gruncie. Tymczasem zbliża się noc. Wreszcie zdołaliśmy „Spyker" postawić na pewnym gruncie i oczyściliśmy go z błota, które zalepiło koła, łańcuchy i tryby. Nadzieja przeprawienia się dziś przez Iro gaśnie, wraz z nią nadzieja ciepłego posiłku. Dzięki napotykanym po drodze Mongołom, posilamy się kilku kubkami gorącego mleka i dalej w drogę.

Po przybyciu do Kiachty dowiedzieliśmy się, że ks. Borghese na „Itali" przestał tu w tem błocie 6 godzin. I dopiero przy pomocy licznej karawany Mongołów, którym zapłacił hojnie, został wyciągnięty przez ich woły na równy grunt. Rozbijamy namioty na noc. Myśl, żeśmy zbłądzili, nie odrazu pozwala mi zasnąć. Wreszcie zmęczenie bierze górę i zasypiam jak zabity.

Czwartek.... Bizac budzi wszystkich. Gdzieś z oddali dochodzi nas kukanie kukułki. Przeprawiamy się przez jakąś rzeczkę i po przebyciu niezliczonej ilości pagórków, wjeżdżamy w miejscowość, pokrytą grubą warstwą lotnego piasku. Pomimo, iż motory działają całą siłą, poruszamy się wolno, gdyż koła ślizgają się i grzęzną w piasku. Przy zmniejszeniu szybkości koła, grzęzną jeszcze bardziej. Musimy pędzić całą siłą, narażając się, że zabraknie nam paliwa. Wreszcie zatrzymujemy się na brzegu Iro. Promu ani śladu. Woda rozlana szeroko, toczy się szybko w piaszczystych brzegach. Co robić? Jak się przeprawić?

Bizac, który — jak już rzekłem — nie śpi wcale, a pracuje za czterech, udał się wzdłuż brzegu, aby przekonać się, czy za odległymi o kilometr wzgórkami nie znajdzie jakiego promu. Lecz Godard, palacz na „Spykerze", człowiek niecierpliwy w najwyższym stopniu, wchodzi do wody, aby poszukać brodu. Woda miejscami dochodzi mu do piersi — o przeprawie w bród nie ma mowy. Spacer w zimnej wodzie wobec upału zasmakował snać Godardowi, gdyż wcale niemyśli wychodzić z niej.

Ja z Cormierem, jako mniej gorący, wdajemy się w pogawędkę mimiczną z Mongołami, którzy otaczają nas zwolna w coraz większej liczbie wraz ze swemi żonami, dziećmi i stadami. Jakiś żółty dyabeł o bajecznie żółtej cerze, w żółtem ubraniu, stara mi się coś gwałtownie wytłómaczyć. Wreszcie zaczynam rozumieć. Do „Spykera" wprzęgają Mongołowie cztery potężne woły i cała drużyna zaczyna spychać samochód do wody. Chwila bardzo ryzykowna. Samochód coraz bardziej pogrąża się w wodzie. Zdaje się, że płynie. Mongołowie i Mongołki z krzykiem otaczają go, popychają, zachęcają woły do szybszego kroku... Wreszcie „Spyker" staje na drugim brzegu, a wkrótce po nim i pozostałe samochody.

Cały różnobarwny tłum Mongołów otacza nas obecnie. Robię jedno ważne spostrzeżenie, którem zapewne zainteresują się piękne czytelniczki. Mianowicie szerokie rękawy damskich strojów, przypominające kształtem ćwiartkę cielęciny, tak modne obecnie w całej Europie, bezwarunkowo wzięły swój początek tu, w stepach syberyjskich i pustyniach chińskich. Nie spotkałem w ciągu mej podróży po Mongolii ani jednej kobiety, któraby nie miała rękawów podobnych do wyż rzeczonej ćwiartki cielęciny i do rękawów europejskich piękności...

Zapalamy pod motorami, aby w ten sposób dać im sposobność wyschnąć i ruszamy w drogę, a po przeszło godzinnem podskakiwaniu po piaszczystej i kamienistej ziemi, stajemy wreszcie w Kiachcie, gdzie nas przyjmują nadzwyczaj serdecznie i w otoczeniu licznych tłumów odprowadzają do hotelu. — Leżąc w ciepłem, wygodnem łóżku, rozpamiętuję przebytą drogę i ze skruchą przyznaję, że o przebytych trudnościach nie miałem nawet pojęcia przed wyjazdem. Mam wrażenie, że obudziłem się po jakimś przykrym śnie. Jeżeli stepy syberyjskie obecnie są dogodniejsze do podróży na samochodach, jeżeli żebra nasze, ramy i resory maszyn wytrzymają tę podróż — będę mógł śmiało powiedzieć, żeśmy dokonali przewrotu w świecie lokomocyi. — Tymczasem zasypiam.

O godzinie 4-ej popołudniu w piątek — opowiada dalej korespondent *Matina* — opuściliśmy gościnną Kiachtę. „Spyker" jechał na czele, wyszukując odpowiedniej drogi. Wkrótce minęliśmy Troickozawodsk, miasteczko, w którem zamieszkują przeważnie bogaci kupcy rosyjscy, handlujący herbatą. Tłumy ludzi oczekiwały na nasz przyjazd i odprowadzono nas hucznymi oklaskami i okrzykami.

Wkrótce potem zaczęły się pagórki, zwiastujące przybliżanie się nasze do góry Czuwaszi, które musieliśmy brać z rozpędu, co nie było łatwe ze względu na drogę piaszczystą, po której jechaliśmy. Nagle na jednym ze skrętów ujrzeliśmy w polu pod cieniem drzew stoły, obrusy białe, szklanki, nalane pieniącem się piwem. Zatrzymujemy się ku wielkiemu niezadowoleniu Cormiera, który stale zarzuca nam zbytnią stratę czasu. W kilka minut później Cormier już nie żałuje, żeśmy się zatrzymali. Naprzeciwko nas wychodzą jacyś dwaj młodzieńcy i siwy starzec w powłóczystej szacie z długimi włosami. „Oto idzie właściciel zamku, koło którego przejeżdżać nam wypadło, ażeby wraz z nami wypić kielich wina na naszą cześć" — żartuje jeden z nas. Tymczasem Collignon, który się baczniej przyjrzał zbliżającej się do nas trójce, oznajmił nam, że jest to mnich rosyjski.

Jak się okazało, napotkaliśmy w drodze wesele. W oka mgnieniu otoczyło nas liczne a wesołe towarzystwo, złożone przeważnie z ludzi młodych, ręce z kubkami z piwem wyciągnęły się w naszą stronę. Zaczęła grać muzyka. Podeszła do samochodów i panna młoda i z radością wysłuchała naszych życzeń, z których nie zrozumiała na pewno ani słowa. Wszystko razem tworzyło obraz jakiejś sielskiej rozrywki, wyrwany żywcem z czasów dawniejszych. Nic więc dziwnego, że gdy Cormier wobec zbliżającego się pośpiesznie zachodu słońca, daje znak do dalszej podróży, Collignon, udając, że tego nie słyszy, zawzięcie majstruje coś około butelki z piwem, a my wszyscy z różnem powodzeniem staramy się iść jego śladem. Wreszcie siedzimy na samochodach, rozlega się warkot motorów — ruszamy! Żegnaj, młoda paro! Uczestnicy wyścigu Pekin-Paryż wspominać będą to dzisiejsze spotkanie z wami, jako najjaśniejszy moment całej podróży!

Zaczyna się droga uciążliwa w najwyższym stopniu, jeżeli wogóle można nazwać drogą tę nieskończoną ilość pagórków, nieraz bardzo stromych, przerywanych co chwila piaszczystemi dolinkami. — Po wielkich wysiłkach mijamy wreszcie góry Poworotnaja i Striełka. Przed oczyma naszemi rozpościera się pejzaż potężny, choć niewesoły. Wszędzie, jak rzucić okiem, pagórki skaliste lub z ziemią, zrytą przez wody stopniałych niedawno śniegów, błota, doły, sosny wysokie i rzadka, ciemnozielona trawa. Spóźniona wiosna dopiero budzi ze snu odrętwiałą przyrodę. Po drodze mijamy liczne stada żrebiąt i prosiąt: pierwsze, przestraszone nowym widokiem i hałasem, jakie sprawiają maszyny, uciekają do matek, a następnie wraz z niemi gonią w step, lub do odległych wiosek, drugie z wesołem pochrząkiwaniem, uganiają się wokół naszych samochodów.

Wjeżdżamy do wsi Ubukuin. W jednej chwili otacza nas cała gromada młodych, przeważnie ładnych dziewcząt, ze śmiechem i gwarem. Docierają nawet do chaty, gdzieśmy ustawili nasze łóżka polowe. — Wesołe śmiechy nie milkną ani nawet na chwilę: pragną dotknąć nas, dowiedzieć się naszych imion, proszą o pisanie listów i o fotografie. Jeden Collignon posiada swą podobiznę. Daje ją najpiękniejszej, co służy za sygnał do ogólnego rozradowania. Na drugi dzień ta sama gromada dziewcząt żegna nasze oddalające się samochody tysiącem okrzyków i pocałunków.

Po nadzwyczaj gościnnem przyjęciu w Selengińsku, wyruszyliśmy w stronę rzeki Selengi. Tymczasem wiosna zaczyna już tryumfować na dobre. Po przeprawieniu się przez rzekę na promie, znaleźliśmy się nagle w krainie, którą śmiało nazwaćby można czarowną. Jechaliśmy wśród tysiąca łagodnych zielonych pagórków, wśród zapachu mnóstwa kwiatów. Prawdziwy maj Syberyi. Rzeki toczą obfite wody. Temperatura łagodna. Różnobarwne kwiatki łączne, tuberozy rozsiewają w powietrzu subtelną woń, która każe czasem nam myśleć, że ten bezludny trakt, zwany „syberyjskim", leży gdzieś w kwitnącej Italii. Na każdym kroku wzrok nasz zatrzymywał się na olbrzymich krzakach głogu, zasypanych formalnie kwiatami, niebieskich gencyanach, różnobarwnych stokrociach, naparstnicach różowych, dzikich krzakach morwowych i poziomek. Cały ten świetny kwietnik otaczały pyszne wzgórza zielone, uwieńczone na szczytach lasem sosnowym, w którym jaśniejszemi nieco plamami odcinają się gąszcze wierzb i topoli.

Niestety, droga, wijąca się wśród tak pięknej przyrody, przygotowała nam przykrą niespodziankę w postaci mostów. Niektóre z nich były zupełne zniszczone i musieliśmy samochody przeciągać przy pomocy koni na drugą stronę przez wodę, większość zaś była tak zdezelowana, że samochody na ruchomych balach podskakiwały, jak na klawiaturze fortepianu.

Jeżeli do przyjemności przeprawy przez rzeki dodamy wymijanie tysiącznych przeszkód, jakie nam stawiły strome pagórki, wąwozy, błota, piaski, wywrócone pnie drzew i t. p., to śmiało rzec można, że drogę tę „wywalcowaliśmy" w pocie czół. Do wsi Lysowaja dojechaliśmy zupełnie rozbici na ciele i duszy. Jedyną pociechą naszą było, że samochody nasze były „zdrowe" i wytrzymałe, jak w chwili wyjazdu.

Na trzeci dzień pod wieczór przybyliśmy do Irkucka, tak strasznie zmęczeni, że pomimo gościnnego przyjęcia, zgotowanego dla nas, udaliśmy się odrazu na spoczynek.

Toast króla Edwarda na cześć cesarza niemieckiego.

Londyn. Na dorocznym oficyalnym obiedzie *Royal Yacht Squadronu* (królewskiej eskadry jachtów). na którym wedle dawnej tradycyi wznoszony bywa tylko jeden toast na cześć admirała *Royal Yacht Squadron*, tj. króla, zaraz po tym toaście ku ogromnej niespodziance dla obecnych, powstał król Edward i wzniósł toast następujący:

„Powstałem z wielką przyjemnością, ażeby wypić na zdrowie jego Ces. Mości Cesarza Niemiec i pragnę złożyć mu życzenia z powodu, że właśnie zdobył on mój puchar w regatach. Wzywam panów, abyście powstali i trzykrotnie wznieśli okrzyk: Niech żyje!"

Obecni powtórzyli za królem trzykrotnie: „Niech żyje!" Podczas tego niezwykłego epizodu obecnym był admirał niemiecki Eisendecher.

(Podczas tegorocznej regaty w Cowes zdobył mianowicie jacht cesarza Wilhelma pierwszą nagrodę: puchar ofiarowany przez króla Edwarda. Regaty w Cowes są w świecie sportowym, oraz dla życia towarzyskiego pierwszorzędnem zdarzeniem. Bierze w nich udział cała arystokracya angielska, uczestniczy też zawsze król, który podczas nich jest i na galowym dorocznym obiedzie *Royal Yacht Squadron*).

* * *

Ponieważ — jak zaznaczyliśmy wyżej — wedle tradycyi na obiedzie tym wychyla się tylko jeden jedyny toast na cześć króla, przeto tegoroczny drugi toast, który król sam wzniósł na cześć cesarza niemieckiego, był zdarzeniem niezwykłem i zwrócił na siebie powszechną uwagę. Toastowi temu oczywiście nie można przypisywać żadnych aluzyj, ani znaczenia, któreby się kryć miało między jego słowami ale ma on bezwarunkowo znaczenie ogólne, jako wyraz obecnego stosunku obydwóch tych monarchów. Jak wiadomo, pomiędzy królem Edwardem a cesarzem Wilhelmem pomimo ich bliskiego pokrewieństwa od lat kilku panowały stosunki chłodne, które harmonizowały też ze stosunkami politycznymi. Tak król Edward, jak i cesarz Wilhelm — są to charaktery silne, które na kierownictwo zagranicznej polityki swoich państw wywierają decydujący wpływ. Tedy stanowisko dyplomacyi jednego państwa wobec dyplomacyi drugiego łatwo jako źródło swoje wskazuje koronę i wywołuje osobistą niechęć między monarchami, przyczem oczywiście ta niechęć odgrywa rolę i we wzajemnej ocenie polityki przez obydwóch monarchów.

Jakkolwiek dzisiaj kierownictwo polityki jest parlamentarne a nie dworskie, to jednak polityka zagraniczna zawsze spoczywa w ręku jednostek, stojących u steru. Nie znaczy to, jakoby ona zależała od ich widzimisię. Przeciwnie oni są wyrazicielami ogólnego nastroju narodów wobec siebie. Lecz sposób, w jaki regulować należy te stosunki narodów i wzajemny ich nastrój odczuć i uchwycić, zanim on jeszcze się skrystalizował — oto właśnie zadanie kierowników polityki zagranicznej. Ponieważ przytem właśnie tak król Edward jak i cesarz Wilhelm są naturami niezwykle wybitnemi i są, jakby powiedzieć, typowem wcieleniem dążności swoich narodów — więc ich wzajemne odnoszenie się do siebie zawsze uważane być musi za wyraz wzajemnego usposobienia ich narodów. To właśnie nadaje onegdajszemu toastowi króla Edwarda znaczenia ogólnego, czyni go znakiem, który świadczy, że zanosi się na erę ciepłych stosunków politycznych między Anglią i Niemcami.

Wypadki w Rosyi.

Warszawa. Onegdaj powieszono na stokach cytadeli Kazimierza Białoruckiego, skazanego przez sąd wojenny na śmierć za zamach morderczy na Proskurjakowa.

KRONIKA.

Lwów 10 sierpnia.

Sienkiewicz przed sądem. Studenci ruscy, którzy dokonali napadu na uniwersytet lwowski, zaskarżyli teraz Henryka Sienkiewicza o obrazę honoru z powodu jego odpowiedzi Bjoernsonowi. Proces ma się odbyć przed wiedeńskim sądem przysięgłych. Sienkiewicza zastępować będzie profesor krakowskiego uniwersytetu dr. Rosenblatt.

Tak donosi dziennik wiedeński *Zeit*. Zdaje nam się jednak, że studenci ruscy nie mają racyi czuć się dotkniętymi listem Sienkiewicza, albowiem nie obraził on ich w niczem. W całym jego liście do Bjoernsona nie ma ani jednego słowa ubliżającego studentom ruskim lub poniżającego ich. Oczywiście nie zachwyca on się napadem ich na uniwersytet i potępia ten czyn. Ale od potępienia czynu do obrazy osobistej tego, który ten czyn wykonał, jest jeszcze daleka droga.

Dr. Buzek zdawał wczoraj sprawozdanie poselskie przed wyborcami w sali Skały. Opowie-

2)

Edmund Amicis.

Zemsta autora

Przekład z włoskiego.

(Dokończenie).

Gdy zostali sami, zwrócił się do swej towarzyszki, a ona tak jakoś dziwnie życzliwie spojrzała na niego, że ze wzruszenia fala krwi do głowy mu uderzyła.

Młoda osoba spostrzegła się szybko i rzekła mu:

— Z rozmowy z panem wnoszę, że musiał pan znać dobrze autora, którego przed chwilą wspominaliśmy. Czy to jest przyjaciel pański?

— Nie — odrzekł, nie patrząc na nią.—Ale kolegowaliśmy w uniwersytecie, los nas potem rozłączył, widujemy się jednak czasem w Rzymie.

— Co to jest za człowiek?

— Któż na to pytanie mógłby pani odpowiedzieć? Określenie charakteru jednego człowieka da się zastosować bez wyjątku do stu innych.

Wiemy, do jakiej klasy społeczeństwa, do jakiej rodziny dana jednostka należy, lecz kim jest naprawdę, nie wiemy. Ma on, jak i wszyscy, pewne dobre strony, a w przeciwieństwie do nich słabostki i wady. Pod wyniosłością pogardliwą, w jaką się uzbroił, kryje on wygórowaną, przeczuloną miłość własną.

— Jakże to pogodzić?

— To się nie godzi z sobą, ale się tłómaczy. Z artystami dzieje się tak—oto dla sztuki pracują oni całe życie nad podniesieniem i zaostrzeniem w sobie zdolności odczuwania, a wyrabiając w sobie sztuczne inne uczucia, podniecają też miłość własną. W tem uczuciu dotknięci cierpią więcej od innych, a ulegają temu i najwięksi. Jako ludzie mogą gardzić światem, lecz jako artyści lękają się go i odczuwają dotkliwie krzywdy, jakie im świat wyrządza.

— Czy to znaczy, że gdybym powiedziała autorowi, o którym przed chwilą mówiliśmy, to co mówiłam panu, to on cierpiałby z tego powodu?

— Nie wątpię o tem.

— I zachowałby do mnie urazę? I może znienawidziłby mnie za to?

— Tego nie myślę. Byłby tem zasmucony, lecz nie oburzony. O ile go znam, wiem, że powiedziałby w tym razie to co i ja. A ja mówiłbym: Jest sobie taka młoda, piękna, rozumna i uczuciowa pani, która się na mnie nie poznała; żaden to zaszczyt dla mnie, przeciwnie, nieszczęście prawdziwe. Dla tej szlachetnej istoty cała moja dwudziestoletnia praca nie istnieje wcale. Pewien poeta powiedział, że najpiękniejszym promieniem sławy jest uśmiech kobiety— taki uśmiech byłby dla mnie bardzo drogim i bardzo miłym, ale go nie mam! Ona sama mi go odmówiła. Jakie to smutne!

I widzieć zawsze będę tę piękną twarz bez uśmiechu, wśród tylu innych, które się śmieją do mnie i to wystarczy, aby cień jakiś padł na radość, dostarczoną mi przez innych. Ale czy mogę mieć żal za to niej? To ona właściwie gniewaćby się na mnie mogła, bo uraziłem ją w jej przekonaniach i uczuciach, pochłaniałem jej czas, nudziłem i irytowałem. Przyjmuję więc tę przykrość z rezygnacyą, jako pokutę za grzech próżności i dumy i chowam ją w sercu. W końcu wdzięcznym będę mojej nieznajomej więcej, niż tym kobietom, co się do mnie śmieją, za ten zbawienny smutek, jakiego z jej powodu doznaję; pracując zaś, często wspominać ją będę z uczuciem szczerem, jakie się ma dla pięknej i drogiej, a straconej niepowrotnie przyjaciółki.

Dama złożyła ręce i wykrzyknęła:

— Jakież to szlachetne, co pan mówi! Ten autor nigdy tak pięknej kartki nie napisał! Ja nigdy nie zapomnę tej chwili, którą z panem spędziłam i która jest jedną z najpiękniejszych w mojem życiu. Czy zechce mi pan powiedzieć, komu winnam wdzięczność moją?

— I owszem, zaszczyt to dla mnie niemały— odrzekł autor i wyjął z kieszeni bilet wizytowy, naprzód już ciesząc się ze zdumienia i zmieszania, jakiego ona dozna na widok jego nazwiska.

Lecz ona uczyniła mu niespodziankę, zatrzymując jego rękę i mówiąc głosem zmienionym: „nie potrzeba".

Spojrzał na nią i zdziwił się, widząc przed sobą twarz, jakby inną zupełnie — rozpromienioną jakąś, z oczami łzawemi i uśmiechem skromnym i słodkim, pełnym tkliwości i zapału, wyrażającym prośbę i pieszczotę.

Nie miał czasu przemówić, ona bowiem wzięła go za ręce i zarzuciła potokiem słów:

— O niech mi pan wybaczy, proszę o to, bardzo proszę! Ja pana poznałam zanim pan mnie zobaczył i udałam niezawolenie, bo miałam już plany swoje. Chciałam się przekonać, czy prawdziwymi są sądy, które nieraz słyszałam o panu, a które sprawiały mi przykrość największą. To, co mówiłam panu było w zupełnem przeciwieństwie z tem, co myślałam. Pan był zawsze moim ulubionym autorem, moim przyjacielem najdroższym; nasze przekonania, nasze uczucia były takie same i dusze nasze dostrajały się do jednego tonu. Tyle mając dla pana uczuć szczerych, broniłam go i cierpiałam bardzo, gdy o nim źle mówiono. Teraz muszę dług spłacić, niesprawiedliwość naprawić. Serce mnie bolało, gdy musiałam mówić w ten sposób; ale powstrzymać się nie mogłam, a tak przytem podziwiałam szczerość pana! Byłam zuchwałą, czyniąc to z myślą o przyszłości, nie o tem, co minione. Jakże szczęśliwą jestem, że w rzeczywistości przedstawił mi się pan takim, jakim był w moich marzeniach! Jeśli obrazę wyrządziłam, to proszę o przebaczenie, chcę je otrzymać, proszę je wypowiedzieć, spojrzeć na mnie... — tu wyzywająco, z uśmiechem wdzięcznym patrzała na niego: — Jeżeli pan może, to proszę powiedzieć, że mi pan wybacza?

Ujęty jej wzrokiem, jej zbliżeniem jakże mógł się oprzeć? Cała gorycz, jakiej doświadczał przed chwilą, zamieniła mu się w podziw, w słodką wdzięczność i przeszła potem w upojenie, od którego drżał cały.

— O pani! — wykrzyknął, ściskając jej ręce. — Ale cóż mam wybaczać pani? To Bóg mi zesłał przyjaciółkę w pani! Bóg mi ją...

W tem uczyniło się w wagonie ciemno i to przerwało mu mowę. Minęli, nie spostrzegłszy się, stacyę Roneo. Wjeżdżali już do tunelu Giovi. Kiedy się znów światło ukazało i mógł mówić dalej, rzekł:

— Bóg mi panią zesłał, mój drogi aniele!

A radość jego dosięgła zenitu, gdy na stacyi w Genui, po wyjściu młodej osoby spojrzał na jej kartę wizytową, którą ona pozostawiła.

Była to żona jego krytyka.

KONIEC.

dział więc krótko dzieje tej sesyi parlamentu, a po jego mowie nastąpiły interpelacye, dotyczące przeważnie znanych już spraw w parlamencie.

Konkurs na posadę lekarza miejskiego w Bolszowcach, z roczną płacą 1.000 K., rozpisuje Zwierzchność gminna w Bolszowcach. Podania do 25 sierpnia.

Eksplozya w magazynie droguery i. Z Czerniowiec donoszą: Wczoraj wieczorem w magazynie droguery i firmy: „Schmidt et Fontin", przy Hauptstrasse, wydarzyła się wielka eksplozya, wskutek zatlenia się 14 beczek benzyny. Właściciel droguery i, poczuwszy w sklepie dym, zaniepokojony, gdy przekonał się, że dym wychodzi z magazynu w piwnicy, zawezwał straż pożarną. Ośmiu ludzi ze straży wraz z naczelnikiem p. Koebe weszło do piwnicy, towarzyszył im młody chłopak sklepowy, mający dobrze rozkład piwnic, który podjął się z własnej woli prowadzić. I nagle, gdy tylko otworzono zamknięte drzwi do składu benzyny i nafty, nastąpiła straszliwa eksplozya. Wyleciały wszystkie szyby w całym domu, powyrywano drzwi i okna, detonacya jak z tysiąca armat. Ofiarą eksplozyi padł naczelnik straży pożarnej i pomocnik handlowy, straszliwie i najciężej poranieni, inni strażacy ulegli mniej lub więcej ciężkim ranom i poparzeniom.

Z teatru. Personal naszej operetki po dwumiesięcznym pobycie w Krakowie — powraca do Lwowa w piątek 16 bm., a już na drugi dzień tj. w sobotę 17 bm. rozpoczynają się w teatrze miejskim przedstawienia „Wesołą wdówką" z panią Schupp w tytułowej roli.

Kasa zamawiań przy ul. Kilińskiego — otwartą będzie w poniedziałek 12 bm. i tam nabywać będzie można bilety na wszystkie ogłoszone repertuarem przedstawienia — codzień od godziny 9-tej do 1-ej rano i od 3-ciej do 6-tej popołudniu.

Termin zgłoszeń do bursy Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń Urzędników prywatnych (im. Jerzego hr. Dunin-Borkowskiego) we Lwowie przedłuża Wydział centralny tego Towarzystwa do d. 20 sierpnia 1907 z powodu zwiększenia ilości miejsc w tej bursie. Przyjęci do bursy mogą być tylko synowie, względnie sieroty urzędników prywatnych, w pierwszym rzędzie członków lub emerytów Towarzystwa, uczniowie gimnazyów lub szkół realnych. Podania o przyjęcie do bursy przyjmuje Wydział centralny Towarzystwa (Lwów, hotel George'a), który też podaje bliższe warunki.

Z kolei. Z powodu rekonstrukcyi mostów zastanawia się ruch ogólny na szlaku Diatkowce Brettler-Szeparowce-Kniażdwór, Kołomyjskich kolei lokalnych na czas 1) od 12 do 17 sierpnia i 2) od 20 do 30 sierpnia br. Ruch ogólny na części szlaku Nadwórniańskie Przedmieście-Diatkowce Brettler odbywać się będzie w powyższym czasie normalnie.

Włoski minister spraw zewnętrznych p. Tittoni wyjedzie dnia 20 bm. automobilem ze swojej willi w Desio i uda się do Semmeringu, żeby złożyć rewizytę br. Aehrenthalowi, austryackiemu ministrowi spraw zewnętrznych. Dojedzie do Klagenfurtu jednego dnia, w Klagenfurcie zanocuje i drugiego dnia stanie w Semmeringu.

Nowopowstająca szkoła muzyczna we Lwowie Natalii Szczycińskiej i Sabiny Kasparkówny, zostająca pod artystycznem kierownictwem prof. Henryka Melcera, ogłasza cztery miejsca wolne dla wybitnie utalentowanych uczniów lub uczennic na kursach: fortepianowym i skrzypcowym.

Zgłoszenia uprasza się nadsyłać najpóźniej do dnia 10 września br. pod adresem Lwów ul. Teatralna l. 11. I. piętro.

Ucieczka więźniów. Z domu karnego przy ul. Kazimierzowskiej zbiegło wczoraj pięciu więźniów, przebiwszy sufit z kaźni do mieszkania dyrektora więzienia. Między zbiegłymi znajdowało się dwóch niebezpiecznych zbrodniarzy: Jan Kubik, skazany na 5½ lat ciężkiego więzienia i Paweł Czajkowski skazany na 4 lata. Ujęto dotychczas trzech, a dwóch uciekło. Mianowicie ów Jan Kubik i Jakób Szyszka, bardzo zręczny złodziej.

Ponieważ niedawno uciekli więźniowie z więzienia przy ul. Batorego, teraz znowu uciekli z domu kary przy ul. Kazimierzowskiej, przeto ogół zadaje sobie pytanie: poco właściwie utrzymuje i opłaca pieniędzmi podatkowymi taki ogromny zastęp urzędników i podrzędników pilnujących więzienia i domu kary, skoro tam panują tak chaotyczne stosunki, iż co parę tygodni więźniowie odbywają sobie eskapady i wracają do społeczeństwa, aby nowe popełniać zbrodnie?

Żeby pokazać, do jakiego stopnia patryarchalne już życie w tych domach kary, opiszemy tę ostatnią ucieczkę: Więźniowie w liczbie pięciu zatrudnieni byli w jakiejś sali na drugiem piętrze. Na pierwszem piętrze tego budynku mieszka dyrektor więzienia. Pan dyrektor z całą rodziną wyjechał sobie na świeże powietrze. Więźniów nikt oczywiście nie pilnował, więc zamiast pracować, zajęli się oni wypiłowaniem dziury w podłodze, następnie przepiłowaniem sufitu — i zrobiwszy tym sposobem otwór, wskoczyli do mieszkania dyrektora. Tam, gdyby byli nieco więcej zimnej krwi, mogli byli przebrać się w jego garderobę, oni jednak zanadto byli podnieceni tem niespodziewanem powodzeniem, więc przebiegli szybko jego mieszkanie, dostali się na schody, a ze schodów do sieni, wychodzącej na ul. Bernsteina. Każdy kryminalista wzruszy ramionami na wiadomość, że we Lwowie, w domu kary, mieszkanie dyrektora, komunikujące się bezpośrednio z salami, w których pracują więźniowie, ma sobie osobny wychód na ulicę — wychód, którego nikt nie pilnuje.

Więźniowie wpadli i podnieceni powodzeniem, zaczęli biedz, żeby jak najprędzej oddalić się od kryminału. To ściągnęło na nich uwagę jakiejś przechodzącej kobiety; dała znać do kryminału, wprawiono w ruch całą policyę i ujęto trzech zbrodniarzy; dwóch zaś popełni dziś lub jutro jakąś nową zbrodnię, kradzież, a może nawet morderstwo. Piękne stosunki! Cały nasz ogół prosi ministra sprawiedliwości dra Kleina, żeby wejrzał w te sprawy i uleczył operacyą tę chorobę, jaka zagnieździła się w naszych instytucyach karnych.

Niemcy i Grunwald. Z powodu odezw, nawołujących do utworzenia funduszu Grunwaldzkiego, *Hann. Cour.* proponuje urządzenie wielkiej niemieckiej demonstracyi narodowej. A mianowicie wzniesienia w dniu 15-go lipca r. 1910 pomnika narodowego na polu bitwy, na którem przed lat pół tysiącem „poległ kwiat zakonu niemieckiego". Pomnik „ku przestrodze żyjących i tych, co się narodzą, ku uczczeniu pamięci zmarłych".

Podając tę wiadomość, *Schlesische Ztg.* w taką potrzebie ją uwagę: „Pomnik jest rzeczą piękną, zaszczytną dla tych, na których cześć zostaje wzniesiony, lecz nie dla tych, którzy go wznoszą. Stokroć lepszą rzeczą odpowiednią na przedsięwzięcie polskie byłoby, gdyby Niemcy wykazali, tę samą wytrwałość w walce, tę samą jedność w oporze, co owi waleczni rycerze zakonu, którzy ulegli jedynie przeważającej liczbie przeciwników".

Rzeź żydów. Prywatne wiadomości nadchodzące z Casa Blanca opowiadają o nader strasznych rzeczach. W mieście tem było kilka tysięcy żydów, owóż podobno Marokańczycy wyrżnęli ich co do nogi.

Tajemnicze morderstwo. Zamordowana w Monte-Carlo Szwedka, była wdową po zamożnym przemysłowcu, który pozostawił jej rentę roczną w kwocie 35.000 fr., pozwalającą pięknej jeszcze wdowie żyć dostatnio na „jasnym brzegu". Goldowie, którzy po dłuższym pobycie w Ameryce, zamieszkali w Monte-Carlo w samotnej willi, na uboczu, poznali p. Lewin przypadkowo, starając się o zawiązanie z nią bliższych stosunków, uprawniających zubożałą parę do zaciągania pożyczek pieniężnych u łatwowiernej Szwedki. Jerzy Gold, z pochodzenia Irlandczk, liczy obecnie 54 lat, jego żona Violetta, Francuzka, 56 lat. Goldowa trudniła się krawieczyzną, w Monce-Carlo jednak prezentowała się jako dystyngowana dama, jako lady Girodin-Goold, żyjąc przeważnie na kredyt z wyłudzanych z nadzwyczajną zręcznością i sprytem pieniędzy. Oboje małżonkowie pożyczali też nieraz u p. Lewin większe i mniejsze kwoty pieniężne, zapraszając ją do siebie na przyjęcia zawsze bardzo gościnne i miłe. Pani Lewin miała w Monte-Carlo przyjaciółkę, także Szwedkę, żonę włoskiego oficera artyleryi, Cortelazza, która nie dowierzała Goldom, przestrzegając ją nieraz przed ich podejrzaną uprzejmością i przyjaźnią. W krytycznym dniu zwabili Goldowie swą ofiarę do willi. Nieszczęściem p. Lewin było jej upodobanie do noszenia klejnotów bardzo kosztownych i większych sum pieniężnych przy sobie. O tem upodobaniu wiedzieli mordercy i liczyli na łatwy i obfity łup. W mieszkaniu własnem zamordowali ją w sposób okrutny. Piłą ręczną odcięli jej nogi i głowę, i tak zniekształcony kadłub wsadzili do dużego kufra, który nadali na dworcu kolejowym do Nizzy, głowę zaś umieścili w ręcznej torbie.

Zbrodniarzy, jak to wczoraj donieśliśmy, już ujęto, a badania policyjne potwierdziły ich winę, wykazując kłamliwość wykrętów, jakiemi się usiłowali bronić. Zeznania ich siostrzenicy, młodej dziewczyny, która przybyła razem z nimi do Monte-Carlo, obciążają szczególniej Goldową. Przy wysyłce kufrów z mieszkania miała ona zachowywać zupełnie zimną krew i swobodę umysłu, podczas gdy mąż jej zdradzał wielkie wzruszenie, słaniał się na nogach, był śmiertelnie blady, tak, że stan jego zwrócił nawet uwagę siostrzenicy, która doradzała mu odroczenie zamierzonej podróży.

Podczas rewizyi w mieszkaniu Goldów znaleziono parasolkę i bieliznę pokrwawioną, należącą do ofiary, duży rewolwer, wyostrzony nóż i piłę, oraz liczne ślady krwi na podłodze. Są to fakta wykazujące dowodnie, że Goldowie popełnili to morderstwo, mimo że oni przeczą wszystkiemu i wciąż powtarzają anegdotę o jakimś tajemniczym młodzieńcu, który miał strzelić w ich mieszkaniu do pani Lewin.

Posiew socyalistyczny. *Kuryer Zagłębia Dąbrowskiego* podaje wymowny opis „drobnego faktu z życia robotniczego". Świadczy on, jak pisze organ sosnowiecki, „o codziennym niemal nadużywaniu prawa do wynagrodzenia za kalectwo lub do zapomogi z kasy chorych", o wyzuciu się pewnych kół robotniczych z wszelkich więzów moralności.

Przed kilku dniami — pisze *Kuryer Zagłębia* — u jednego z lekarzy w Sosnowcu zjawia się kilku robotników.

— Chcieliśmy świadectw. Mieliśmy niedawno wypadki, a lekarz fabryczny nie chce nam świadectw wydać.

— Proszę się rozebrać.

Zaczyna się badanie. U każdego z robotników, pomimo najskrupulatniejszego badania, lekarz nie może znaleźć skutków wypadku.

— Ja panom świadectw takich wydać nie mogę.

— Cooo? Nie dasz pan? No, to my sobie inaczej poradzimy — i w tej samej chwili przybyli wyciągnęli rewolwery z kieszeni i skierowali lufy do lekarza.

— No, dasz pan?

— Co panu jest — pyta lekarz, zwracając się do pierwszego z brzegu.

— Ja mam piersi stłuczone — odpowiada zagadnięty.

— A panu?

— Mam zawroty głowy.

— A pan, ten trzeci?

— Nie widzę nic na prawe oko.

I dalej w tym guście.

Lekarz siadł i zaczął pisać, a po godzinie z ambulatoryum wyszło 5 robotników z rozjaśnionemi obliczami i ze świadectwami w kieszeniach.

Browning jako *panaceum*, wymuszenie w miejsce prawa — oto posiew etyki P. P. S.

Potęga ciemnoty. *Russkoje Słowo* opisuje straszny czyn, jaki wykonano w tych dniach we wsi Sysojewo, gubernii Mohylowskiej. We wsi tej mieszka „człowiek boży", słynny ze swej siły „cudotwórczej", włościanin Michał Tichonow-Kolczewskij. Dnia 29 lipca oznajmił on wszystkim mieszkańcom wsi, że miał w nocy widzenie, że wszystkie biedy i nieszczęścia, jakie spadają na kraj, są sprawą antychrysta, którego należy zgładzić z tego świata. Antychryst wcielił się w kształcie dwuletniego synka włościanina Grobaczewskiego. Zainterpelowany ojciec, zgodził się oddać na ofiarę swe własne dziecko „dla ogólnego dobra", poczem „człowiek boży" zapytał matki, Maryi Grobaczewskiej, aby wskazała w izbie miejsce, gdzie się urodził chłopczyk. Matka przychyliła się do tego życzenia. Wówczas „prorok" Kolczewskij położył na tem miejscu dziecko na wznak i zaczął deptać je nogami. Po kwadransie mały Misza żyć przestał.....

Nie poprzestając na tem, Kolczewskij zadał ofierze ciężkim młotem 20 ciosów w głowę, następnie zaś kazał rozerwać trupa na dwie połowy. Kiedy i to polecenie zostało przez 8 włościan wykonane, „prorok" ujął w ręce topór i rozrąbał ciało dziecka jeszcze na 4 części, mrucząc coś nieustannie pod nosem.

Wreszcie Kolczewskij kazał złożyć wszystkie części trupa i zawinąć w grube płótno. Płótno przywiązano do ogona końskiego, na konia wsiadł sam „prorok" i wszyscy, śpiewając hymny tryumfalne, trzymając w rękach zapalone świece (działo się to o północy), ruszyli przez wieś w celu pochowania „antychrysta". O świcie „Prorok" kazał włościanom rozejść się do domów na spoczynek, a o godzinie 8 wieczorem przyjść do niego ujrzeć „cud", polegający na tem, że wejdzie na dach i tam siejąc blaski słoneczne, wzniesie się do nieba.

Włościanie nie mogli spać... Wszyscy byli podnieceni do granic ostatecznych, wszyscy wpadli w jakiś stan ekstazy i ze drżeniem oczekiwali na termin oznaczony. Wybiła wreszcie godzina 8. Wszyscy stanęli przed domem Kolczewskiego. Ale w domu panowała cisza, dach zaś był pusty. Kolczewskij spał najspokojniej w izbie na łóżku. Rozbudzono go.

— Co? Chcesz nas oszukiwać? — zapytano groźnie.

Ale „prorok" nie chciał oszukiwać, tylko poprostu chciało mu się spać, więc zaczął tłómaczyć chłopom, że zaszła pomyłka, bo w widzeniu powiedziano mu, aby przed zabiciem dziecka spytać się o pozwolenie popa „batiuszki", czego nie uczyniono. Wówczas rozjuszony tłum rzucił się na Kolczewskiego, począł go bić i byłby zamordował, gdyby przypadkiem przez wieś nie przejeżdżał w tej chwili komisarz z „urjadnikami". Włościanie opowiedzieli im całą sprawę, wskutek czego Kolczewskij został niezwłocznie aresztowany. O tragedyi dano znać władzom sądowym, które po przeprowadzenniu śledztwa kazały aresztować wszystkich gospodarzy tejże wsi w liczbie 32. Wśród aresztowanych znajduje się starzec 102-letni, który brał również udział w zamordowaniu dziecka.

Jeszcze o katastrofie kolejowej pod Trzemesznem. Jeden z tych dziennikarzy, którzy się udali na miejsce katastrofy, opowiada, co następuje: „Miałem sposobność rozmówić się z pewnym podróżnym z pociągu wykolejonego pod Trzemesznem. Wyglądał on strasznie: ubranie miał podarte, ręce obandażowane, twarz częściowo w gipsie. Nazwisko swoje podał, jako Jan Siergiejew, palacz („chauffer") jednego z Wielkich Książąt z Petersburga. Jechał on do Paryża. Podróżny opowiada, co następuje:

„Spałem w wagonie 2-ej klasy, a naprzeciwko siedziało dwóch innych podróżnych. Nie wiem, kiedy to było, ale pamiętam, że obudziło mnie silne wstrząśnienie. Z początku sądziłem, że śnię. Naprzeciw leżały dwa trupy. Ja znalazłem się leżącym na wznak; z rąk i twarzy sączyła mi się krew. Próbowałem się podnieść, ale okazało się, że wagon stoi prostopadle. Wtedy zdałem sobie sprawę z tego co się stało. W tej samej chwili w wagonie wybuchł pożar".

Podróżny pokazał tutaj walizkę swoją, która była częściowo zwęglona.

„Jak wyszedłem z wagonu, nie wiem" — zakończył swe opowiadanie.

Inny naoczny świadek opowiada:

„O godz. 1½ po północy uczuliśmy straszne wstrząśnienie, które zgasiło lampy i zrzuciło nas z siedzeń. Nie wiem, jak dostaliśmy się na zewnątrz, ale wkrótce zobaczyliśmy, że z naszego wagonu nie ma ani śladu. Wagony były spiętrzone jedne na drugich, a zewsząd słychać było okrzyki zgrozy. Pomoc kazała czekać na siebie dość długo.

„Szczególną brawurą odznaczył się pewien Polak z Królestwa Polskiego, który ratował z narażeniem życia swego kolegę z pośród szczątków wagonu. O godz. 7-mej z rana wysłano nas dalej. Na miejscu katastrofy odgrywały się sceny wstrząsające. Jakiś starszy podróżny miał straszne rany na całem ciele, inni ociekali krwią z poranionej głowy, inni wreszcie byli silnie potłuczeni. Myśmy względnie wyszli cało, za co dziękujemy Bogu".

Muzeum narodowe w Rapperswylu. Ogłoszone drukiem sprawozdanie zarządu Muzeum narodowego polskiego w Rapperswylu za r. z. wykazuje stały wzrost i pomyślny stan tej instytucyi, która za granicą świadczy tak chlubnie o naszej kulturze i naszym patryotyzmie. Ogół polski nie zapomina o Muzeum narodowem, gdyż księga darów wykazała w roku zeszłym 1777 pozycyi, które obejmują 4.551 przedmiotów. Według rozmaitych działów było: przedmiotów pamiątkowych 25, numizmatycznych 8, rzeźby 2, obrazów olejnych 5, akwareli 4, miniatur 10, rysunek 1, rycin 81, fotografij 127, map 20, rękopisów 1.457, druków 3.352, rozmaitości 2. Ogólny stan zbiorów muzealnych przedstawiał się w końcu roku ubiegłego w liczbach następujących: przedmiotów pamiątkowych jest 1.090, numizmatycznych 5.738, rzeźb 557, obrazów olejnych 339, akwarel 391, miniatur 109, rysunków 1.875, rycin 18.918, fotografii 7.975, nut 1.119, map 905, druków 56.025, rękopisów 13.227 i rozmaitości 382. W r. z. zwiedziło Muzeum 3.724 osób, mianowicie: Amerykan 41, Anglików 87, Belgów 6, Bułgarów 2, Czechów 14, Finlandczyków 6, Francuzów 380, Hiszpanów 8, Holendrów 8, Chorwatów 4, Łotyszów 6, Niemców 312, Norwegów 3, Polaków 722, Portugalczyków 2, Rosyan 86, Rumunów 4, Szwajcarów 1.911, Szwedów 28, Turków 2, Węgrów 7, Włochów 85.

Rada Muzeum narodowego zarządza całym szeregiem stypendyów i funduszów na rozmaite cele, pomiędzy niemi funduszem stypendyjnym im. Ostrowskiego. W r. b. ze stypendyów im. Krystyna hr. Ostrowskiego korzysta 38 stypendystów. Z tej liczby studyują: w Krakowie 8, w Karlsruhe 5, w Zurychu 5, w Genewie 4, w Paryżu, Wrocławiu i Winterthur po 2, w Berlinie, Brunszwiku, Darmsztadzie, Dublanach, Fryburgu, Leodjum, Lwowie, Marsylii, Rostoku i w Wiedniu po 1. Obok wymienionego funduszu stypendyjnego rada Muzeum narodowego zarządza kilku funduszami anonimowemi, które są przeznaczone na rozmaite cele. Kapitał żelazny Muzeum w końcu roku ubiegłego wynosił 32.676 fr., dochody t. zw. niestałe przyniosły 6912 fr., wydatki zaś wynosiły 17.933 fr. Przewyżkę wydatków nad dochodami w kwocie 11.020 fr. pokryto z kapitału, który w sumie 44.927 fr. pozostał z r. 1905. Wskutek tego kapitał Muzeum w końcu r. z. wynosił 33.907 fr.

Temperatura dnia 8 sierpnia o godz. 7-mej rano wynosiła: w Galicyi zachodniej +17, we Lwowie +16, w Tarnopolu +16, w Czerniowcach +18, w Wiedniu +17, w Salcburgu +15, w Gracu +17, w Pradze +15, w Tryeście +25, w Abbazyi +26, w Raguzie +27, w Budapeszcie +18, w Berlinie +16, w Hamburgu +19, w Monachium +15, w Zurychu +13, w Genewie +16, w Lugano +20, w Anglii +16, w Paryżu +13, w Biarritz +16, w Nizzy +23, w północnych Włoszech +23, we Florencyi +22, w Rzymie +21, w Neapolu +24, w Palermo +27, w Madrycie +26, w Sztokholmie +12, w Petersburgu +13, w Wilnie +13, w Warszawie +13, w Moskwie +14, w Kijowie +15, w Odessie +21, w Serajewie +19, w Belgradzie +21, w Bukareszcie +23, w Sofii +19, w Konstantynopolu +21, w Atenach +29. (Temperatura według Celsiusza).

Stan powietrza. T. o godz. 7 rano +16 R. w poł. +20 R. w cieniu, +29 R. na słońcu. Bar. 766. Spada. Upał.

Duma ojcowska.

— Czy to prawda, że twój syn jest dozorcą więzienia?

— Tak, ale tam sami porządni złodzieje siedzą.

U garbarza.

— Co kosztuje wypchanie małpy?

— To zależy, czy moja skóra, czy też pańska?

Fortuna we Lwowie. W oknie wystawowem tutejszego Domu bankowego firmy August Schellenberg i Syn, przy ulicy Karola Ludwika 1, znajduje się **kwit ratalny**, świadczący o tem, że na zakupiony na **spłaty miesięczne** w tymże domu bankowym los Turecki padła przy losowaniu 1 sierpnia b. r. wygrana w kwocie 60.000 franków.

Szczęść Boże! Oby takich więcej.

Widowiska i koncerty.

Repertuar teatru miejskiego we Lwowie. W sobotę 17 b. m. pierwsze przedstawienie operetki po powrocie z Krakowa: po raz 29 „Wesoła wdówka," operetka w 3 aktach Fr. Lehara z panią Schupp. — W niedzielę 18 b. m. uroczyste przedstawienie ku uczczeniu dnia urodzin Najj. Pana. Rozpocznie „Hymn ludowy i „Apoteoza," nastąpi po raz 30ty „Wesoła wdówka" z panią Miłowską. W poniedziałek „Druciarz," operetka w 3 aktach Lehara, z panią Kliszewską i Lelewiczem w głównych rolach. — We wtorek po raz 1szy (wznowienie) „Wesoła wojna," operetka w 3 aktach Jana Straussa, z udziałem pp. Kasprowiczowej, Kliszewskiej, Miłowskiej, Lelewicza, Miłoszy, Sawickiego i innych. — We środę po raz 31 „Wesoła wdówka" z panią Schupp. — We czwartek „Wesoła wojna". — W piątek „Słodka dziewczyna," operetka w 3 aktach H. Reinhardta. — W sobotę po raz 32 „Wesoła wdówka" z panią Miłowską.— W niedzielę po raz 33ci „Wesoła wdówka" z panią Schupp. — W poniedziałek „Boccacio," operetka w 3 aktach Souppégo. — Początek przedstawień o godz. wpół do ósmej wieczorem. Bilety na powyższe przedstawienia nabywać już można codziennie w kasie zamawiań (znajdującej się przy ulicy Kilińskiego, obok handlu „Merkury"), od poniedziałku dnia 12 sierpnia b. r. od godz. 9—1 zrana i od 3—6 popołudniu, w dniu przedstawienia w kasie w teatrze miejskim.

Colosseum Hermanów od 1 do 15 sierpnia. *Jej Ekscellencya Małgorzata Fehim-Pasza* na czele swojej trupy *the Morgan Family*. — *Sposób na męża*, groteska w 1 akcie. — *Bros Leigh*, kom. burleska bilardowa.— *Vitograph* i 10 nowości. W niedziele i święta dwa przedstawienia: o godzinie 4-tej i 8-mej.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 8 sierpnia.

(Z). Spadek kursu rent i innych stale oprocentowanych papierów lokacyjnych wywierał dziś nacisk na tendencyę całego targu. Renta majowa, która wczoraj miała kurs 96½, spadła dziś na 96·20, czteroprocentowa austryacka renta koronowa spadła z 96.50 na 96·15, zaś kurs czteroprocentowej renty węgierskiej spadł na 91·60. Pomimo tak nadzwyczajnie niskiego kursu popyt o renty jest bardzo nieznaczny.

Z Londynu donoszą, że kurs konsoli angielskich spadł dziś na 81·93. Tak niskiego kursu nie miały konsole wogóle jeszcze nigdy. Powodem dzisiejszego spadku były ogromne zlecenia sprzedaży konsoli, nadsyłane z Paryża, Berlina i Frankfurtu, a wbrew wszelkim zaprzeczeniom utrzymuje się w londyńskich sferach finansowych wersya, że wszystkie te sprzedaże pochodzą od członków konserwatywnej magnateryi angielskiej, która w ten sposób okazuje swe niezadowolenie z dzisiejszych liberalnych rządów.

Eskont prywatny na targu tutejszym zrównał się już niemal zupełnie z urzędową stopą banku austro-węgierskiego. Przed kilku dniami jeszcze eskontowano na targu pierwszorzędne weksle za opłatą $4^{13}/_{16}$%, dziś zaś wynosi eskont prywatny $4^{15}/_{16}$%, a więc zaledwie o $^{1}/_{16}$% mniej, niż urzędowa stopa. Przytem z powodu braku gotówki interes eskontowy wogóle kurczy się, a jedna z instytucyi bankowych, uprawiających stale ten dział, od kilku dni wcale nie chce eskontować weksli.

Targ zbożowy. (Sprawozdanie Syndykatu Towarzystw rolniczych z targu zbożowego w Krakowie na Kleparzu dnia 9-ego sierpnia 1907 r.) Notowania zniżkowe w Ameryce pozostają jak dotąd bez wpływów na usposobienie rynków monarchii i dotychczasowe wysokie ceny utrzymują się w całej pełni. — Na tutejszym targu pozostała sytuacya również niezmienioną, a pojawiające się drobne partye zboża nowego znajdują chętnych nabywców.

Sprzedawano: pszenicę białą od 11·00 do 11·25 koron, czerwoną od 10·80 do 11·20, żyto od 9·00 do 9·50, jęczmień od 8·25 do 9·00, owies od 9·30 do 9·60, groch zwykły od 10·00 do 11·00, groch Victoria do 12·00 do 14·50, groch (do siewu) na paszę od —·— do —·—, wyka nowa od 7·00 do 8·00, bobik od 8·00 do 8·50, kukurudza stara od 0·00 do 0·00, nowa od 7·60 do 8·00, Cinquantino od 8·35 do 8·50, otręby pszenne od 6·40 do 6·70, żytnie od 6·60 do 6·80, rzepak od 17·00 do 17·50, koniczyna nasienna czerwona od 00·— do 00·—, biała od 00·— do 00·—, tymotka od 00·— do 00·—. Wszystko za 50 klgr.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

(Depesze popołudniowe).

Rzym. *Osservatore Romano* donosi, że wiadomość pism liberalnych, jakoby papież zaniechał zamiaru przyjęcia kardynałów z okazyi rocznicy koronacyi, aby ich nie narażać na antiklerykalne demonstracye w drodze do Watykanu, jest nieprawdziwa. Papież z okazyi podobnej rocznicy zwykle nie przyjmuje osobno kardynałów, biorą oni tylko udział w nabożeństwie uroczystem, co już wczoraj nastąpiło.

Maramorosz-Sziget. W kilku gminach tutejszego komitatu pojawił się karbunkuł wśród zwierząt. Z powodu styczności z końmi, chorymi na wąglik, zmarły dwie osoby.

Szeden. W składach towarowych dla pośpiesznych przesyłek Towarzystwa kolei państwowych, wybuchł groźny pożar, który wyrządził znaczne szkody.

Nowy Jork. Wśród urzędników telegraficznych w Chicago wybuchł strejk; zaprzestało pracy ubiegłej nocy ogółem 800 urzędników; żądają oni 8-godzinnego czasu pracy, podwyższenia płacy o 25% i uznania ich związku. Po południu przyłączyli się urzędnicy innych dystryktów do strejku.

Chicago. Urzędnicy pocztowi wydali odezwę, wzywającą kolegów do strejku. Urzędnicy telegraficzni uchwalili rezolucyę, w której wzywają wszystkich kolegów do solidarności.

Chicago. Do wczoraj około 500 urzędników pocztowych zaprzestało pracy. Ogółem strejkuje dotąd 1600 urzędników wszelkiej kategoryi.

Madryt. Minister spraw wewnętrznych oświadczył, że rząd postanowił wysłać nietylko okręty wojenne, ale także znaczną liczbę wojska do Marokka. Na razie wyruszy tam tylko 500 żołnierzy.

Tulon. Dwa okręty z wojskiem wyruszyły wczoraj wieczór do Marokka.

Tanger. Donoszą z Casablanca: Marokańczycy pastwili się z niesłychanem okrucieństwem nad zwłokami pomordowanych żydów; wleczono trupy przez całe miasto wśród naigrawań.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Budapeszt 10 sierpnia. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i za 50 kilogramów). Pszenica na październik 11·63—11·64, na kwiecień 11·91—11·92; żyto na październik 9·04—9·05; owies na październik 8·30—8·31; kukurudza na sierpień 6.92—6·94, na wrzesień 7·00—7·01, na maj 1908 6·88—6·89. Rzepak na sierpień 17·75—17·85. — Oferty na pszenicę: dostateczne. — Chęć kupna: lepsza. — Usposobienie: spokojne. — Pogoda: ciepło.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30, Wiedeń 10 sierpnia.

Marki 117.47, renta majowa 95·90, węgierska renta koronowa 91·60, akcye: austr. zakł. kredyt. 644·50, węg. zakł. kred. 745·00, anglobanku 302·50 unionbanku 537·50, bankvereinu 532·50, landerbanku 427.25, kolei państw. 653·50, lombardy 152.00, akcye kolei Elbethal 000.00, fabryki broni 470.00, tytoniowe 000·00, alpiny 588·00, Rima Muranyi 537·50, prag. T. żel. 0000, losy tureckie 183 75, ruble 253·00. Usposobienie: słabe.

5% renta rosyjska 1906 r. 83·25.

Lwów 10 sierpnia. (Z izby handlowej). Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za 100 K.: Kolej gal. Karola Ludwika po 400 Koron —.— do —.—. Kolej dworsko-Czern.-Jassy po 400 kor. 557.— do 565.—. Banku hipotecznego po 400 kor. 568·00 do 573·00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —.— do —.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 400.— do 500·—. Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 400·—410.—.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1 maja 1907 r. według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31*, 1.30, 8.40***, 5.50*, 7.25, **8.55**, 9.45 5.25, 9.50*.
Z Rzeszowa: 1.10.
Z Podwołoczysk na dworzec główny: 7.20, 12.00, **2.16**, 5.40, 10.30*.
Z Podwołoczysk na Podzamcze: 7.01, 11.40, **2.00**, 5.15, 10.12*.
Z Czerniowiec: **12,20***, 8.05, **2.25**, 3.55, 9.00*
Z Kołomyi: 10.05.
Ze Stanisławowa: 8.05.
Z Rawy i Sokala: 7.10, 12.40.
Z Jaworowa: 8.22. 5.00
Z Sambora: 8·00, 10.30, 1.55, 9.20*.
Z Ławocznego: 7.29, 11.50, 10.50*.
Z Tuchli: 3.51.
Z Bełzca: 4.50.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12.45***, 3.45*, **8.25**, 8.40, **2.45**, 6.15*, **7.05***, 7.20, 11.00*.
Do Rzeszowa: 4.05.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: 6.20, 10.45, **2.17**, 7.00*, 11.15*.
Do Podwołoczysk z Podzamcza: 6.35, 11.03, **2.32**, 7.24*, 11.35*.
Do Czerniowiec: **2.51**, 6.10, 9.20, **1.55**, 10.40*
Do Stryja: 11.30*.
Do Rawy i Sokala: 6.12, 7.10*.
Do Jaworowa: 6.58, 6.30*.
Do Sambora: 6.00, 9.05, 4.30, 10.51*.
Do Kołomyi i Żydaczowa: 2.25.
Do Przemyśla, Chyrowa: 4.05.
Do Ławocznego: 7.30, 2.26, 6.25*.
Do Bełzca: 11.05.
Do Stanisławowa, Czortkowa, Husiatyna: 5.50.

Pociągi lokalne:

Do Lwowa:

Z Brzuchowic (od 5 maja do 29 września wł.) 3·25, 5·30 popołud. i 8·20 wieczór; (od 5 maja do 29 września wł. w niedziele i rz. kat. święta) 1·46 popołudniu; (od 1 czerwca do 31 sierpnia wł. w niedziele i rz. kat. święta) 10·05 przedpołud.; (od 5 do 31 maja, od 1 do 29 września w niedziele i rz. kat. święta, zaś od 1 czerwca do 31 sierpnia codziennie) 9·35 wieczór.

Z Janowa (od 1/5 do 30/9 wł. codziennie 1·15 popołudniu i 9·25 wieczór; (od 12/5 do 15/9 w niedziele i rz. kat. święta) 10·10 wieczór.

Ze Szczerca od 26/5 do 15/9 wł. w niedziele i rz. kat. święta o 9·40 wieczór.

Z Lubienia od 12/5 do 15/9 wł. w niedziele i rz. k. święta o 11·50 wieczór.

Ze Lwowa:

Do Brzuchowic (od 5 maja do 29 września wł) 2·28, 3·45, 5·45 popołudniu; (od 5/5 do 29/9 wł. w niedziele i rz. kat. święta) 12·41 popołudniu; i (od 1/6 do 31/8 wł. w niedziele i rz. kat. święta) 9·05 rano; (od 5 do 31 maja i od 1 do 29 września w niedziele i rz. kat. święta zaś od 1 czerwca do 31 sierpnia codziennie) 8·84 wieczór.

Do Rawy ruskiej 11·35 w nocy (każdej niedzieli).

Do Janowa (od 1/5 do 30/9 wł. codziennie), 9·15 przedpołud. i 3·35 popoł.; (od 12/5 do 15/9 w niedziele i rz. kat. święta) 1·35 popołud.

Do Szczerca 10·45 przedpoł. (od 26/5 do 15/9 wł w niedziele i rz. kat. święta).

Do Lubienia 2·10 popoł. (od 12/5 do 15/9 w niedziele i rz. kat. święta).

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

20)

JERZY OHNET.

Między sztuką a bogactwem.

(Ciąg dalszy).

— Nic to nie pomoże—żartowała Zuzanna—obecność pana została ujawnioną. Za pięć minut cała sala będzie wiedziała, gdzie szukać cię wzrokiem... Ot, teraz już Gabriant wieść tę głosi sąsiadom... Musisz, kochany mistrzu, znosić z rezygnacyą przykrości, jakie pociąga za sobą sława... Konieczne to następstwo twego rzemiosła.

Rzeczywiście dowcipny, złośliwy adwokat Gabriant powiadamiał sąsiadów: margrabiego Vercelli, prezesa klubu szlacheckiego i malarza Corazon o odkryciu, jakie zrobił w loży Brandonów. Vercelli zwierzył się z tem siedzącemu po lewej ręce jenerałowi Garaita, a malarz oficerowi, zajmującemu obok niego miejsce. Wiadomość, podawana kolejno od ucha do ucha, obiegła salę; dyrektor orkiestry Verga, siadając przed pulpitem, odwrócił głowę, usiłował dojrzeć znakomitego kolegę. „Autor obecny", powtarzali muzykanci, i niby pułk, szykujący się do ataku w przytomności naczelnego wodza, wszyscy artyści zapragnęli wyróżnić się wyjątkową dokładnością wykonania. Sygnał rozpoczęcia przedstawienia rozległ się wśród uroczystej ciszy; Verga uderzył po trzykroć pałeczką w pulpit, a unosząc ręce w górę, dał hasło do wybuchu instrumentalnej burzy, tworzącej introdukcyę opery. W tejże samej chwili brat królewski wszedł do loży.

Derstal z naprężeniem nerwów, przypominającem mu wrażenie pierwszego występu w operze, przysłuchiwał się muzyce swojej. Doznawał niepokoju, jakby odgrywał osobiście rolę na scenie. O powodzeniu dzieła nie należało wątpić; od lat dwóch wypełniało widzami sale wszystkich teatrów europejskich. Talent wykonawców był dla niego rzeczą obojętną; nie lękał się o śpiew Pozzoli, której przysądzał też same co Ewie zalety. Powinien był tedy czuć się spokojnym, a doświadczał wewnętrznego drżenia i dłoń zaciskał kurczowo. Wstydził się sam przed sobą takiej dziecinnej bojaźni, nie mógł jednak przezwyciężyć przykrego uczucia trwogi. Zuzanna, bledsza trochę, niż zwykle, odwróciła się ku niemu, szepcąc:

— Byle wszystko poszło dobrze!

Muzyk mógł się przekonać, że młoda dziewczyna doświadczała tego samego co on niepokoju; było to jakby objawieniem dla artysty: Zuzanna lękała się o powodzenie utworu Derstala, a Derstala trwożyła myśl, iżby w oczach Amerykanki sława jego nie poniosła uszczerbku. O opinię Zuzanny chodziło mu głównie, wyjaśniało to dostatecznie stan serca kompozytora. Spadła mu nagle jakby zasłona z oczu; zrozumiał, do jakiego stopnia panna Brandon zawładnęła uczuciami jego. Ewa Brillant, której wspomnienie przywodził na pamięć śpiew, tak cudnie przez nią wykonywany, ukazywała się artyście niby bladawy cień, niknący wobec blasku wspaniałej Amerykanki. Zuzannę miał obok siebie, z sercem, bijącem o los dzieła, mającego zdobyć uznanie publiczności; jej obnażone w wyciętym staniku ramiona pociągały wzrok Oliwiera, a biała pulchna szyja z pod zwojów czarnych włosów pochylała się z wdziękiem ku niemu. Oklaski po skończonej aryi rozległy się w sali; widok Zuzanny, bijącej zapamiętale brawa, i rozpłomienionym wzrokiem pobudzającej entuzyazm publiczności, dreszczem przejął Derstala. Obróciła się raz jeszcze ku niemu dla stwierdzenia wrażeń, doznawanych przez artystę; uniesienie radosne malowało się tak wyraźnie na twarzy młodej dziewczyny, że Derstal wzruszony, rzekł sobie w głębi duszy: ona mnie kocha! Zaraz też odzyskał panowanie nad sobą, jakby ta pewność kładła kres jego niepokojom i czyniła go panem wątpliwego dotychczas położenia. Burza oklasków powitała Marriniego i Pozzoli, z wdzięcznym uśmiechem kłaniających się publiczności; kurtyna razy kilka spuszczaną i podnoszoną być musiała.

— Tryumf! — zawołała Zuzanna — tryumf stanowczy! Patrz pan, jak są podnieceni; podbiłeś wszystkich!

Rzeczywiście od lóż do orkiestry rozlegały się gorące oklaski, przywoływano bez końca artystów, lubo ci ostatni przeszli już do garderoby, a muzykanci porzucili instrumenty. W korytarzach panowały ruch, wrzawa. Zastukano do drzwi loży Brandonów i wszedł do niej wspomniany poprzednio Gabriant.

— Niedelikatnie z mojej strony narzucać się państwu — rzekł — nie mogłem jednak odmówić sobie przyjemności powitania słynnego mego współziomka.

Henryk przedstawił adwokata matce i siostrze.

— Pan Gabriant z reputacyi zaszczytnie tak dobrze wam, jak i wszystkim znany.

— Ah! mój drogi — mówił adwokat do Derstala — jaką miłą niespodziankę zgotowałeś twoim wielbicielom! Nie wiedzieliśmy, że tu bawisz; wiadomość o tem podały dopiero przed ośmiu dniami gazety, nie wskazując wszakże ulicy i numeru twego mieszkania. Inaczej byłbym cię zaprosił do siebie. Przebywam sam jeden w pałacu Contarinich... odstąpiłbym ci pokoje dożów... Widzę jednak, że nic na tem nie straciłeś, skoro jesteś gościem tych pań... Wszak Pozzoli nieźle śpiewała?... Nie dorównywa wprawdzie...

Zatrzymał się, spostrzegł ściągnięcie brwi u Derstala a bladość, pokrywającą oblicze panny Brandon. Jako wytrawny znawca ludzi pomyślał: Proszę uniżenie! czyżby nasz kochany maëstro wstępował w ślady Kolumba i dążył do podbicia Ameryki?

— Szambelan królewski a mój sąsiad w teatrze, margrabia Vercelli pragnie być paniom przedstawiony — rzekł, zwracając się do matki i córki — chce on również poznać znakomitego mego współziomka. Czy panie upoważnią mię do zadośćuczynienia jego prośbie?

— Z największą chęcią — zapewniała pani Brandon, promieniejąca z radości.

Derstal w kąt wciśnięty, kręcił niecierpliwie głową, przeczuwał, że przez ciąg tego wieczoru wydany zostanie na pastwę ciekawości widzów, zmuszony uśmiechać się słodko do licznej czeredy nieznajomych ludzi.

— Nie gniewaj się pan — szepnęła Zuzanna, pochylając się do artysty i olśniewając go białością swego gorsu — przykra chwila minie prędko, dostąpisz po niej apoteozy!

— Jeśli zechcesz, kochany przyjacielu, złożyć podziękowanie wykonawcom twego dzieła, ja i Vercelli poprowadzimy cię na scenę — oświadczył Gabriant. — Powitają cię tam niby drugiego Apollina... Marrini niezły... — dodał, zwracając się do Henryka — śpiewa trochę z gardła, jak zwykle czynią Włosi, ale głos jego dźwięczny bardzo... Jakie twoje o nim zdanie, Derstalu?

— Ma czystą intonacyę, co stanowi dodatnią stronę jego talentu, zdaje się jednak nie rozumieć tego, co śpiewa; wdzięczy się w rolach wymagających prostoty i pewnej nawet szorstkości. To bohater ulepiony ze słodkiego ciasta.

— Do licha! powodzenie nie czyni cię pobłażliwym. Nie objawiaj surowego sądu twego wobec Włochów; oni zachwycają się Marrinim.

— Możesz być spokojnym — odparł, śmiejąc się Derstal — umiem, gdy tego potrzeba, kłamać tak dobrze, jak drudzy.

— To ci się chwali. Odchodzę, bo słyszę sygnał rozpoczęcia drugiego aktu. Podczas następnej przerwy przyprowadzę paniom mego przyjaciela margrabiego, oraz Hiszpana, malarza Corazon, spadkobiercę Canaletta w umiejętności odtwarzania widoków Wenecyi a prawdopodobnie wielu jeszcze innych. Dziś wieczór wszyscy pragnęliby zapoznać się z państwem.

— Niech go dyabli porwą — mruknął Derstal — sprowadzić nam gotów całą salę ciekawych widzów.

— Im więcej ich sprowadzi, tem świetniej wypadnie odniesiony tryumf. Ot, w tej chwili lornetuje pana książę Palermy.

Brat królewski w samej rzeczy utkwił szkła w loży Brandonów, poczem nachylił się do swego adjutanta i z uśmiechem na ustach szepnął mu parę słów do ucha.

— Zaszczyt ten nie mnie spotyka — dowodził Derstal — jego królewska wysokość mówił niewątpliwie o paniach, chwaląc waszą piękność i elegancyę.

Zuzanna spojrzała ze wzruszeniem na artystę, zdawała się nieść mu w dani te pochwały jako hołd należny kompozytorowi.

Zaczynał się akt drugi, część utworu najbardziej namiętna i porywająca słuchaczów. Na rozentuzyazmowaną publiczność akt ten wywierał piorunujące wrażenie; zapał Marriniego i Pozzoli doprowadzał tak śpiew, jak akcyę do możliwej doskonałości. Widzowie słuchali artystów z naprężoną uwagą, żadnym głośniejszym objawem podziwu nie przerywając uroczystego nastroju.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny **Ludwik Masłowski.** Papier z fabryki Braci Fiałkowskich. Z drukarni E. iniarza W